

wiedza tajemna

organ samoisny pod redakcją

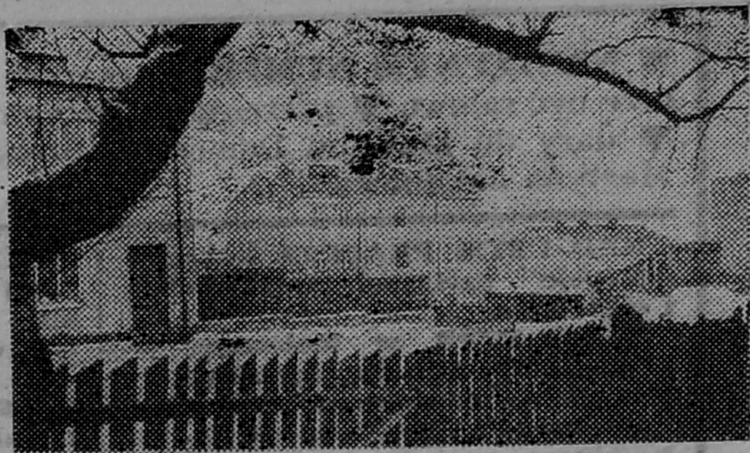
wiedza tajemna



6
tyle co po
człowieku



7
księga
nędzarzy



8
łomzyczna



KONTAKTY

ŁOMZYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR



ADAM JERZY SOCHA

WYCHODEK

Sanacyjny premier Sławoj-Składkowski, który zastał II Rzeczpospolitą bez „sławojek”, a zostawił zaszaleowaną, byłby dumny z mieszkańców Szulborza. Podjęli oni i toczą wieloletni „homerycki” bój o budowę w ich wsi publicznego wychodka.

dziura w krześle

— Postawiliśmy remizę w 1973 roku — komendant straży wskazuje długi parterowy budynek. — Przecieliśmy wstęgę i dopiero wtedy okazało się, że król nie ma gdzie piechotą chodzić. Sanepid chciał zamknąć sklep, na który odstapiliśmy geesowi część budynku. Póki co, prowizorka — wchodzimy na zaplecze sklepu — przeplerzenie w magazynku no i...
— Krzesło z dziurą — wyznaje sklepowa. — Jak przyprze, podstawią się wiadro.
— Tak miało być tylko parę dni — kontynuuje mój przewodnik. — Działka za remizą jeszcze w sobotę należała do gminy. W ponie-

ZA KOLEDE DZIĘKUJEMY

STR.

CIĄG DAJSZY NA STR. 8-9

2 stycznia Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Jedwabnem gościł konkurs kółek. Wzięły w nim udział zespoły z miejscowości: Krupki, Radziszewo, Sieńsk, Wąsosz, Andrzejewo, Zambrów, Dmochy, Wocław, Jedwabne, Łachowo, Nowogród, Kiełce, Stare.

Propozycje zespołów oceniało jury pod przewodnictwem ich umiarkowania, sposobu wykonania, związków z tradycją, sposobu wystroju itp. Nagrodziło cztery zespoły: „Herodów” z miejscowości: Krupki, z Kiełczy Starych, z Wąsosz, z Andrzejewa. Za wyróżnienie otrzymała grupa jaśniejszą z Nowogródu i zespół z Wyszonki Błot.

Najatrakcyjniejsze (oczywiście, z tradycją) stroje zaprezentowały „Herodów” z miejscowości: Wocław i Radziszewo. Wąsosz, zaś kolednicy z Wąsosz przedstawili ciekawą realizację plażową gwiazdy.

Przebieg kółek sprzyjał kontynuacji polskiej tradycji i stał się atrakcyjną formą wspólnej pracy. Aby wszyscy na równi mogli uczestniczyć, występy zespołów — zdaniem jury — powinny odbywać się pośrodku. Wówczas np. nie byłoby kłopotu z usunięciem ze sceny pijanego (1) z Kiełczy Starych, niepożądanych nawet Herodów.

Fot. GABOR LORINCZY



ZA KOLEDĘ DZIĘKUJEMY



**pomoc
dla wsi**

W związku z notatką na temat Wojewódzkiego Związku Plantatorów Roślin Okopowych w Łomży („Śpięca”. „Kontakty” nr 45/83) przesyłam wyjaśnienie.

Jestem głęboko przeświadczony, że każde przedsiębiorstwo państwowe i spółdzielcze, posiadające w swoim statucie obowiązek obsługi wsi i rolnictwa, musi zdawać sobie sprawę z tego, że wyniki i efekty jego działania zależą przede wszystkim od wsparcia wszystkich jego poczyniń przez tych, którzy produkują dla niego surowce — mam tu na myśli przedsiębiorstwa i zakłady przemysłu rolno-spożywczego. Każda z instytucji ma określone w swoich planach konkretne formy pomocy dla wsi i rolników, gdyż dzięki pracy ludności wiejskiej każda z nich istnieje. Aby ta pomoc była skuteczna i racjonalnie wykorzystana przez wieś, potrzebne jest sprawne i mądre działanie samorządu rolniczego. Jest to niezbędne, by pomoc tę można było łączyć ze społecznym zaangażowaniem wielu wiejskich działaczy i z funduszami, jakie tworzą sami rolnicy — fundusz rozwoju rolnictwa, opłaty plantatorskie.

Samorząd rolniczy, do którego zaliczony jest Związek Plantatorów Roślin Okopowych, koncentruje i angażuje swe siły przede wszystkim na rozwoju produkcji rolniczej, skutecznej obronie interesów rolników, producentów roślin okopowych i mieszkańców wsi, poprawie życia i zaspokajaniu potrzeb socjalno-bytowych ludności.

W 1980 roku zaistniała potrzeba zaproponowania rolnikom takich form organizacji samorządu rolniczego, które zwiększyłyby jego zakres uprawnień i obowiązków wobec mieszkańców wsi, jak również wobec administracji państwowej i przedsiębiorstw obsługujących rolnictwo. A więc chodziło o takie formy, które byłyby przez rolników przyjęte.

W wyniku stanowiska Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL z października 1980 r. w sprawie działalności samorządu rolniczego nastąpiła dezintegracja Związku Plantatorów Roślin Okopowych ze Związkami Kolek Rolniczych. Taka była wówczas potrzeba. Od tego czasu uzyskaliśmy pełną samodzielność w działaniu w zakresie reprezentowania i obrony swoich członków — plantatorów, jak również we wdrażaniu i upowszechnianiu postępu rolniczego w określonej produkcji specjalistycznej. Opracowano też nowy statut, który został zatwierdzony przez walne zgromadzenie delegatów.

Zasadność samodzielności w podejmowaniu określonych form działania została potwierdzona ustawą sejmową z 10 października 1982 roku. Te dwa dokumenty natury politycznej i państwowej nawiązały do tradycyjnej formy działania związku Plantatorów Roślin Okopowych na wsi, umożliwiając tym samym każdemu rolnikowi angażowanie się w rozwiązywanie własnych problemów produkcyjnych i socjalno-bytowych.

Członkom Związku Plantatorów Roślin Okopowych nie są obojętne sprawy rent, emerytur, opieki nad dziećmi wiejskimi, starcami; sprawy zdrowia, melioracji, dróg, światła, zaopatrzenia w wodę i inne. Wszystko to bowiem zależeć się ze sobą i tworzy wielką infrastrukturę społeczno-gospodarczą, z której korzystać chce, bo ma do tego prawo, każdy rolnik.

Na posiedzeniach naszych organów samorządowych kontrolujemy prawidłowość swojej działalności. Często zastanawiamy się nad tym, czy nasze formy pracy są skuteczne i przynoszą korzyści plantatorom oraz gospodarce narodowej.

Ponad 200 mężów zaufania bierze czynny udział w kontratacji roślin okopowych, w zaopatrzeniu w środki produkcji, w organizowaniu dostaw surowca do punktów

skupu: jest na co dzień z plantatorami przy produkcji. W każdej kampanii skupu roślin okopowych bierze udział około szeszedziesięciu kontrolerów społecznych, broniących interesów plantatorów przed tymi, którzy chcą nieraz na krzywdzie chłopskiej dorobić się majątku. Broniony też jest interes przemysłu w przypadkach, kiedy plantator w znowie z wagowym czy procentmistrem chce sprzedać niewyprodukowany surowiec. W ubiegłej kampanii skupowej na 386 interwencji naszych kontrolerów w 312 przypadkach plantatorzy mieli rację.

Chciałbym przypomnieć, iż fakt, że nie brakuje cukru w kraju, że uzyskaliśmy rekordowe zbiory ziemniaków, to nie zbieg okoliczności, ale na pewno i nasza pomoc w ciężkiej pracy rolnika oraz nasza obecność z nim na co dzień. Działalność naszego Związku opłacana jest dotychczas przez plantatorów roślin okopowych i dlatego jesteśmy w stanie bez dotacji państwowych iść im coraz bardziej z pomocą.

Niestety, w prasie cyklicznie pojawiają się artykuły na temat funduszu Związku, o tzw. „skrobaniu” chłopów przez Związek. Jestem przekonany, że dzieje się to pod namową niektórych pracowników instytucji pracujących na rzecz rolnictwa, których praca jest krytykowana przez samorząd, albo niektórych działaczy społecznych, zawiedzionych w swoich ambicjach, czy też ludzi nie znających dogłębnie problemu. Jest to zjawisko wysoce szkodliwe, świadczące o niezrozumieniu roli i zadań Związku Plantatorów Roślin Okopowych.

Jestem przekonany, że w niedalekiej przyszłości zyskamy pełne zrozumienie i poparcie władz, instytucji oraz rolników do realizacji zamierzeń naszego Związku.

WIESŁAW KOKOSZKO
prezes Zarządu Wojewódzkiego
Związku Plantatorów
Roślin Okopowych w Łomży

garaże w Zambrowie

W odpowiedzi na notatkę prasową („Kontakty” nr 46/83) w sprawie wycięcia drzew i urządzenia kompleksu garaży w sąsiedztwie Szkoły Podstawowej nr 3 w Zambrowie niniejszym wyjaśniam.

Decyzją z dnia 31 stycznia 1980 r. wojewoda łomżyński zatwierdził plan realizacyjny na budowę kompleksu garaży przy ul. Magazynowej w Zambrowie. W planie tym przewidziano do likwidacji istniejący wał ziemny oraz wycięcie 7 drzew (wierzby), które były zniszczone i bardzo stare.

Nieprawdą jest, że lokalizacja garaży zatwierdzona została już po wycięciu drzew i rozpoczęciu budowy. Pomimo że decyzja na wycięcie drzew łącznie z likwidacją wału ziemnego wydana została przez naczelnika miasta i gminy w Zambrowie w 1973 roku, Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane, które prowadziło prace budowlane

przy ul. Mazowieckiej, odstąpienie
pobierania ziemi i wycięcia
Dopiero po zatwierdzeniu planu
lizacyjnego zlecono Przed
stwu Gospodarki Komunalnej
Mieszkaniowej w Zambrowie
widację wału ziemnego i usu
starych wierzb.

Sprawa wycięcia drzew przedmiotem badania przez W. Gospodarki Terenowej i Oceny Środowiska Urzędu Województwa w Łomży w 1982 roku i nie wykazała się żadnymi nieprawidłowościami.

Odpowiedzialnym za właściwe zarządzanie terenu i utrzymanie kompleksu garaży są Rejonowe Zakłady Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zambrowie.

inż. ZYGMUNT ZANIEW
zastępca naczelnika m.
i gminy w Zamb

wycin a

Nawiązując do notatki opub-
likowanej w rubryce „Śpięcia” (Ca-
łkowicie) nr 48/83) na początku
moim fakty. W jednym z
„Brygada Przedsieźbiorstwa G-
miny Komunalnej i Mieszkań-
ców” wycięła, bez wymaganej urzę-
dowej zgody siedem młodych drzew
zbudować kolektor do kwater
przy ul. Skłodowskiej-Curie
Łomży — znalazły się
nieprawdziwe stwierdzenia.

Po pierwsze — wymagana przez urzędową jest: decyzja prezydenta miasta z dnia 10 października 1934 r. Po drugie — to nie były młode drzewa, lecz drzewa owocowe, które pozostały po zlikwidowaniu lasu temu sadzie. Po trzecie — lektor służy mieszkańcom budowlany przy ul. Świerczewskiego 26, a także kwaciarni i budowę jego rozszerzenia. Wobec powyższych faktów to na liczne prośby mieszkań-

Uważamy, że „fachowcy” —
cząc przeciwko zlikwidowaniu
lewiska nieczystości przy bud
do którego doprowadzono ka
zację — wykazali godną pod
inicjatywę i pryncypialność
łania. Bo przecież czymś tr
się wykazać, jeżeli walka o c
Narew została przez „fachow
czujących na ochronę środow
przegrana.

A tak na marginesie to nie
inny, tylko podległy przedsię-
wzięciu zakład zieleni, dba o ziele-
nię. A w tym zakresie coś
coś zostało w ostatnim okresie
konane.

inż. ZYGMUNT STEFANOWSKI
dyrektor PGKiM w Łodzi

na rada

W związku z uwagą poczynioną w „Śpięciach” („Kontakty” nr 4) pod adresem Zarządu Miejsko-Gminnego ZSMP w Wysokim Mazowieckiem, a dotyczącą naszego wyjazdu na naradę do Augustowa „pożyczonym” służbowym samochodem” wyjaśniam, że niezbędne narady organizujemy na terenie działania naszej instytucji miasta i gminy Wysokie Mazowieckie. Nie musimy więc „podążać” jak to określili rozbawiony redaktor — do Augustowa.

W baku mamy rzeczywiście
 cze dużo, ale realizmu. Dlatego
 anonimowe spuszczenie tego ce
 go dzisiaj paliwa nikomu ch
 nie pomoże.

MAREK SKARŻYŃSKI
przewodniczący ZMG ZS
w Wysokiem Mazowieckim

Fot. GABOR LORIN

со по ктыце



wybory muszą być wyborami

O przebiegu konsultacji nad założeniami ordynacji wyborczej ze Stefanem Gawrońskim, członkiem Rady Krajowej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego rozmawia Stanisław Zieliński.

Kontakty: — Dyskusja nad założeniami ordynacji wyborczej dobiegła już końca. Jak Pan ocenia jej przebieg?

Stefan Gawroński: — Udowodniła, że bardzo zainteresowane jest nasze społeczeństwo przyszłymi wyborami i jak duży chce mieć na nie wpływ. Dyskusja miała jeden moment: ponaglał nas termin jej zakończenia i dlatego odbywała się zawrotnym tempie.

— Ale przecież Rada Wojewódzka podjęła się pod tym terminem.

— Nie miała innego wyjścia. 8 tysięcy mieszkańców naszego województwa wypowiedziało się o założeniach ordynacji. Szkoda, że nie mogli tego uczynić wszyscy. Niektórzy zebrań miały bardzo spokojny przebieg: uczestnicy odebrali założenia, obiecując przedyskutować je w swoich środowiskach.

— Skonsultowali?

— Rada proponowała przedłużenie dyskusji. Starczyłoby wówczas czasu nawet dla najbardziej opieszanych. Skorzystałaby z tej okazji przede wszystkim wieś, bo dotychczas uczestniczący w zebraniach minnych sędziowie ograniczali się tylko do wysłuchania głosów innych. Jednak Rada Krajowa PRON nie korzystała z tej propozycji.

— Czy PRON miał jakiś wpływ na projekt ordynacji wyborczej?

— Opracowała go Rada Państwa. Rada Państwa określiła nam termin konsultacji.

— Wszak PRON zobowiązał się przeprowadzić konsultację społeczną nad założeniami ordynacji wyborczej już na I kongresie.

— Zgoda, ale nie przewidywaliśmy

wówczas takich warunków, a po drugie: Rada Państwa poddała projekt pod dyskusję w momencie, gdy społeczeństwo nie było do tego przygotowane. W prasie, radiu, telewizji zorganizowano wprowadzić kilka audycji, w których autorytety naukowe orzekły, iż ordynacja jest wielkim novum w naszym życiu politycznym, bo wybory poprzedzone są szeroką konsultacją społeczną. Mogłoby się obejść i bez tego. O wypowiedzi powinno się poprosić ludzi z różnych środowisk: robotników, chłopów, przedstawicieli inteligencji.

— Od przebiegu kampanii przedwyborczej i wyborów — podkreślano to wielokrotnie podczas dyskusji nad założeniami ordynacji wyborczej — uzależnia się pozycję PRON-u w społeczeństwie.

— Rada Krajowa zajęła już oficjalne stanowisko. Proponuje: zwiększenie o 100 procent list wyborczych, zgłaszanie kandydatów także przez samorządy miast i wsi, możliwość zaskarżenia wyborów przez sąd, radni mogą być odwoływani z funkcji podczas kadencji. Zaakceptowała praworybory czyli akceptację kandydatów przez zebrania środowiskowe. Ta nowa formuła prawa wyborczego — wypracowana w wyniku konsultacji społecznych — stanowi pierwszy krok ku demokratyzacji ordynacji wyborczej w kraju.

— Zyczymy skutecznej obrony interesów społeczeństwa w przełomowym okresie naszej posierpniowej historii — mieszkańcom walki wyborczej.

— Jest to kolejny, bardzo ważny szczebel w budowaniu zgody narodowej i demokracji.

— Dziękuję za rozmowę.

Komisja Konsultacji Społecznych i Praworządności Rady Wojewódzkiej PRON podsumowała propozycje i wnioski z dyskusji nad założeniami ordynacji wyborczej. 11 rad terenowych Ruchu (z Szumowa, Zambrowa, Ciechanowca, Goniądza, Stawisk i Radziłowa) opowiedziało się za bezpośrednimi wyborami do wojewódzkich rad narodowych, za pośrednimi — tylko trzy: w Nurze, Rajgrodzie i Jedwabnem. W Nowogrodzie połowa uczestników dyskusji zaakceptowała wybory pośrednie, połowa — bezpośrednie. Większość rad proponuje alfabetyczny porządek list wyborczych, tajność wyborów i swobodę skreślania. Po-

u nas sprawuje władzę. Żadna partia nie zgodzi się na utratę miejsc mandatowych, bo to zagrozi jej interesom. Nieważne jest, czy nazwiska spisane są w porządku alfabetycznym czy innym. Ważne — jakich wyłonimy kandydatów.

□ **GRZEGORZ FLEJTER**, sekretarz Rady Wojewódzkiej PRON: — Choć większość wypowiada się za wyborami bezpośrednimi, uważam, że pośrednie byłyby bardziej pożyteczne, ponieważ kandydat na radnego do WRN-u w wyborach bezpośrednich nie jest w stanie spotkać się ze wszystkimi wyborcami, a w wyborach pośrednich — mógłby, bo miałby ich znacznie mniej.

sztuka wybierania

stulowano także, aby kandydaci na radnych rekrutowali się wyłącznie spośród stałych mieszkańców danego okręgu wyborczego, a prawo ich zgłaszania powinno przysługiwać również samorządom mieszkańców miast i wsi oraz ustępującym radom szczebla podstawowego. Opowiadano się za zaprzestaniem agitacji w dzień wyborów, a zakaz sprzedaży alkoholu uznano za uwłaczający godności narodowej Polaków, co nie znaczy, iż władze lokalne nie mogą takiego tymczasowego zakazu wydać.

Różnice punktów widzenia ujawniają również opinie zanotowane na posiedzeniu Rady Wojewódzkiej PRON.

□ **STANISŁAW ZUZIO** z Rajgrodu: — Ludzie opowiadali się za alfabetycznym spisem kandydatów, lecz po moim wyjaśnieniu zdanie to zmienili. Wiadomo przecież, kto

□ **JAN KONOPKO** z Nowogrodu: — Musimy wybrać takich ludzi, którzy nie będą uganiać tylko za swoją kopaczką czy ciągnikiem, ale nade wszystko będą pamiętać o interesie środowiska.

□ **KRYSTYNA KOŁAKOWSKA**, wiceprzewodnicząca Rady Wojewódzkiej PRON: — Winniśmy głosować bez skreśleń, bo społeczeństwo nasze nie jest jeszcze do skreśleń przygotowane.

□ **ZBIGNIEW ZUKOWSKI**, komendant Łomżyńskiej Chorągwi ZHP: — Sposób przygotowania wyborów to być albo nie być dla PRON-u. Nade wszystko musimy zapewnić naprawdę demokratyczne listy, bieżące przygotowanie ordynacji wyborczej i takie przeprowadzenie wyborów, aby głosujący nie utożsamili ich tylko z wrzuceniem głosu do urny.

dzień powszedni zambrowskiego PRON-u

● Wkrótce Rada Miejsko-Gminna PRON-u otrzyma swój lokal w pobliżu Urzędu Miasta i Gminy ● Komisja ds. interwencji przyjmuje mieszkańców Zambrowa podczas poniedziałkowych dyżurów ● Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego przygotowują się do utworzenia Zakładowego Obywatelskiego Komitetu Ocalenia Narodowego ● Członkowie Rady Miejsko-Gminnej PRON, wspólnie z Wojskowymi Grupami Terenowymi, wykryli na zapleczu sklepu 4 tysiące kozacków — personel tłumaczył się, iż wykonał już plan sprzedaży i buty odłożył do... wiosny ● Przedstawiciel Ra-

dy Miejsko-Gminnej PRON wszedł w skład komisji rozdzielającej sprzęt rolniczy ● Komisja antyspekulacyjna przejęła kontrolę nad reglamentowaną sprzedażą dywanów ● Z inspiracji Rady Miejsko-Gminnej PRON ukonstytuowała się Miejsko-Gminna Komisja Czynów Społecznych — weszli w jej skład mieszkańcy Zambrowa i rolnicy a także przedstawiciele władz, organizacji społeczno-politycznych i młodzieżowych.

Kolumnę przygotował
STANISŁAW ZIELIŃSKI

nie swoi a najlepsi

znają. Zadzierzga to więc głoszących z wybieranymi i zbliża w czasie całej kadencji.

Zastrzeżenia moje budzi proponowany sposób sporządzania spisów wyborców. Moim zdaniem wymaga dużego nakładu pracy terenowych ogniw administracji i będzie niewygodny dla obywateli (choćby dojazd do miejsca stałego zameldowa-

nia, by sprawdzić, czy jest się umieszczonym w spisie).

Przypuszczać należy, że wielu obywateli skorzysta z możliwości głosowania w miejscu czasowego pobytu. Wówczas terenowy organ administracji państwowej wydać musi zaświadczenie o prawie głosowania i powiadomić terenowy organ administracji państwowej, w którym oby-

watel zameldowany jest na stałe. Uważam te dwa dokumenty za zbędne, nie licząc pracy poczty. Powinien wystarczyć dowód osobisty.

Inna kwestia. Listy kandydatów na radnych sporządzają kolegia wyborcze. Znajdą się na nich wyłącznie ci, którzy uzyskali poparcie uczestników zebrań przedwyborczych. Każdy obywatel ma prawo zgłaszać uwagi, kwestionować kandydatury podane przez kolegium wyborcze, podawać własne propozycje. Tak proponują założenia ordynacji wyborczej. Czy potwierdzi je praktyka?

Wielu obywateli uważa, że publiczne wyrażenie swego sądu stanie się przyczyną narażenia się kandydatowi oraz tym, którzy go zgłaszają. Poglądów takich nie podzielam. Jeśli żądamy od władzy jawności życia i wszystkich jej działań, a sami nie mamy odwagi przedstawić swoich sądów publicznie, to trudno to uznać za prawdziwą postawę obywatelską.

Założenia ordynacji wyborczej stwarzają możliwość aktywnego udziału w wyborach. Jest to procedura nowa, zapewniająca obywatelom wpływ we wstępnej fazie tego procesu — uzgadniania kandydatów. Uważam ten odcinek kampanii wyborczej za najważniejszy, bo to zdecydowanie, kogo mamy wybierać. Jak będziemy wybierać — to już zadanie drugorzędne. Technika głosowania ważna jest dla tych, którzy wyborowi się poddają. I jeszcze jedno: system wyborów powinien być taki, by przed zakończeniem pracy komisji wyborczej nie można było przewidzieć wyników głosowania.

HENRYK WILCZEK

mównica obywatelska



kontakty kontaktów

Zdarzenie, które pragnę opisać, miało miejsce w drugiej połowie grudnia ubiegłego roku. Chciałam wówczas zwrócić w kasie przedsprzedaży PKS-u w Łomży zakupiony wcześniej bilet na autobus do Warszawy. Robiłam to pierwszy raz, więc najpierw upewniłam się, czy kasjerka zechce przyjąć bilet z powrotem. Kiedy przyszła moja kolejka, pani w kasie raptownie zastąpiła okienko firanką i rzekła „przerwa”. Nie zdążyłam jej nawet o nic spytać.

Po dwudziestu minutach przerwy, a raczej dwudziestu pięciu, dowiedziałam się, że — aby zwrócić bilet — muszę najpierw uzyskać na nim pieczętkę dyżurnego ruchu. Byłam zdenerwowana, bo dlaczego kasjerka nie powiedziała mi o tym wówczas, kiedy pytałam, czy w ogóle można dokonać takiej operacji. Można nie szanować swojego czasu, ale chyba trzeba szanować czas innych. Kiedy uzyskałam już pieczętkę na bilecie, ponownie musiałam odczekać w kolejce pół godziny. Zastanawiałam się wówczas, czy osoba w kasowym okienku zgłupieje w końcu, czy to ona powinna obsługiwać ludzi.

CZYTELNICZKA Z ŁOMŻY
(nazwisko i adres znane redakcji)

★

Jestem mieszkańcem Kolna. Obecnie odbywam służbę wojskową w Białymstoku. Interesuję się historią województwa łomżyńskiego, a przede wszystkim byłego powiatu kolneńskiego. Przed wojskiem uprawiałem turystykę rowerową i w ten sposób odwiedziłem bardzo dużo interesujących miast. Chętnie przeczytałbym w „Kontaktach” o pięknych zabytkach naszego województwa. Myślę, że redakcja mogłaby ogłosić jakiś konkurs, którego uczestnicy wykazaliby się znajomością dziejów swojego regionu.

JANUSZ PRUSIŃSKI
BIAŁYSTOK

★

Zupełnie przypadkowo oglądałam występ kabaretu dziecięcego, działającego przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Nowogrodzie. Mili aktorzy byli wspaniali. Podobał mi się nie tylko mój, ale całej widowni. Zresztą publiczność im dopisała, bo na sali obok dzieci siedziało sporo starszych osób. Rodziło się ze wzruszeniem oglądali „aktorstwo” swoich pociech.

Myślę, że Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Nowogrodzie może być wzorem dla wielu podobnych placówek w województwie, a jego działalność zaprzecza ostatnio bardzo modnemu twierdzeniu, że „z kulturą dzieje się źle”.

CZYTELNICZKA Z ŁOMŻY
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

★

W związku z ukazaniem się notatki o odsłonięciu pomnika Polskiej Organizacji Wojskowej w Wysokim Mazowieckiem („Kontakty” nr 47/83), w której stwierdzono, że pomnik ten był zniszczony w czasie działań wojennych, prosimy o sprostowanie.

Pomnik POW był rozbity i zakopany w 1954 roku, a odsłonięty w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

WALDEMAR KRUSZEWSKI
oraz dziesięć nieczytelnych podpisów mieszkańców z Wysokiego Mazowieckiego

★

Aż trudno w to uwierzyć, że wśród członków organizacji młodzieżowych są tacy, którzy byli dobrymi działaczami w czasie uczęszczania do szkoły i na studia. Po uzyskaniu matury lub otrzymaniu dyplomu przestali nagle być aktywni. Widocznie organizacja nie jest im już potrzebna.

Komisja Historyczna ZSMP w Łomży przyjmuje w swoje szeregi wszystkich chętnych do współpracy.

BOGDAN BOCHIŃSKI
członek Komisji Historycznej ZSMP w Łomży

LAUREACI NAGRODY I MEDALU ZYGMUNTA GŁOGOMY

Maria Mroczek mieszka w willi przy ulicy Przechodniej 6a. Dom stoi w Łapach, tuż obok dworca kolejowego. Stwarza to złudzenie, że można — kiedy się tylko zechce — wsiąść do pociągu byle jakiego i jechać tam, gdzie człowiekowi lepiej, a życie pełniejsze i ciekawsze. I faktycznie jest to tylko złudzenie, bo domek powstał w czasach, kiedy zarówno pani Maria, jak i jej mąż, Józef Stanisław, wędrowali już z całą pewnością, że resztę życia spędzą im spędzić nie gdzie indziej, tylko właśnie w Łapach.

Nie zawsze tak było — mówi pani Maria stawiając na okolicznościowym stoliku filiżanki z czarną kawą; przepędza do drugiego pokoju czarnego kundelka Topika, a głośno, czarno jak smoła, kotka. — Mąż po studiach historycznych na Uniwersytecie

tyle

co po człowieku

Warszawskim trafił najpierw do Zambrowa. Nigdy przedtem nie znał tego miasta, ale wtedy, a były to początki lat pięćdziesiątych, obowiązywały nakazy pracy. Człowiek chciał czy nie, musiał jechać gdzie mu kazano. Jednym z takich odpowiedzi było, że człowiek odpowiadał za własne losy, innym znacznie mniej. Józef miał aspiracje naukowe, no a co może robić naukowiec w Zambrowie, miasteczku nawet ładnym, ale przecież bez biblioteki i archiwum, słowem: bez tych wszystkich źródeł, z których historyk czerpie wiedzę o życiu? No, co może robić?

Józef Mroczek został nauczycielem i uczył zambrowską młodzież, a że miał talent i to, co zwykle się na-

gólnie biorąc — historii regionalnej, usiadł i napisał krótką monografię Zambrowa, za którą otrzymał wiele pochwał i liczące się w kraju wyróżnienia. Na tym zakończył pierwszy etap zambrowskiej kariery. Zakończył, lecz z Zambrowem nie zerwał. Chyba nie wiedział jeszcze wtedy, że miasto to będzie jak pierwsza miłość, do której zawsze się wraca. Później los i spłót układów przeniosły Józefa Mrocza do Łap.

Pani Maria znikła na chwilę w kuchni; wraca z ciastem domowego wypieku. Piecze, choć nie bardzo ma dla kogo. Mieszka w domu z matką starszą, kotem i pieskiem. Syn studiuje na trzecim roku, bę-

celu człowiek robi coś takiego już wie, że nauka, w naturalnym tego słowa znaczeniu, to poza zasięgiem niepełnej ręki?

Ale oto okazuje się, że

— W początkach lat sześćdziesiątych chcieliśmy, przeniesiemy się do Łodzi — mówi pani Maria — zadamy w głosie. — Duży uniwersytecki daje szansę, dzenia poważnej pracy. Było to marzenie, moją Józefa autentycznie pasjonowała, godzinami mógł grać w starych papierach. Pracę no by dostał, ale mieszkając bicia to dużo i mało zarab-

ci znaczą, bardzo wiele, ale niebył dużo; umiejętności, pozycje — o czym one. W rezultacie, może trochę, mąż zrobił doktorat u Łukaszczyka. Prawda, mówiła go do tego pani Czernekowa, nasza serdeczna jaciółka. Temat: Zambrow XIX-XX. Upadek i rozwój miasta. Cóż, widocznie był Zambrow skazany.

Z potężnej kartonowej Maria wyciąga dyplom pisany czerpanym papierze. Litera „Józef Stanisław Mroczek, nauk humanistycznych”.

Zarówno przed, jak i po cie życie Józefa Mrocza się przecież normalnie. Tak najmniej mogło wyglądać, nował z dyrektorskiego fotela, jakiś uczył języka polskiego, sadniczej Szkole Metalowej, wiasem mówiąc, to właśnie przygotował swoich uczniów do olimpiady. Olimpiady w Polsce i Świecie Współczesnej, ale chyba przygotował, skończyli zajęły czwarte miejsce. Potem został inspektorem w Oświacie, zaczął budować w Łapach i pisał — mój Zambrowa.

Co znaczy takie pisanie, mógł wiedzieć tylko sam. Dziesiątki wizyt w bibliotekach, archiwach, rozsyłanie powiadomień i publikacji. Nie było miesięcy, dni i godzin, które nie były poświęcone na pieniądze i sławę. Wreszcie wszystko było już gotowe, czuła się inna jeszcze, stokrotnie cięższa praca — targi z tym, który wszystko nakazywał.

Czy książka wyszła z tego pani Maria nie wie, jest teraz przystępniejsza, niż w odbiorze i czytaniu, ale takim dziele o to właśnie w szczyt rzędzie chodzi? Ale co ba, było skraćć i autor Doktorowi z Łap mielotwo, wiać z wszystkowiedzącym, cą. Nie mógł też mieć wpływu na termin wydania pracy.

— Książka wyszła już po ci męża; przedwczesnej śmierci pani Maria wyjmując ją z fioletowej torebki z plikiem nych legitymacji.

Przeglądamy je razem. Krzyż Zasługi, Złota Odznaka Honorowa, Odznaka Honorowa „Zasłużony Działacz Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej”, znowa odznaka „Zasłużony Białych”.

— Łomżyński mąż nie jakoś — mówi pani Maria, tyle co po człowieku...

Tyle po autorze jednej z pięć opracowanych w Polsce grafii; takiego sobie, niebył go w końcu, miasta.

ANDRZEJ WIESŁA

Józef Stanisław Mroczek urodził się 15 III 1923 r., a zmarł 19 VII 1983 r. Otrzymał Medal Zygmunta Głogomskiego za monografię „Zambrow dziejów”.



zywać smykalką do pracy, wkrótce został wiceszefem miejscowego ogólniaka.

Pani Maria zastrzega się, że ten okres z życia męża zna tylko z jego późniejszych opowiadań. Sama pochodzi z Tomaszowa Mazowieckiego; studia, także historyczne, ukończyła w Łodzi. Józef urodził się pod Mińskiem Mazowieckim; poznał się dopiero w Łapach.

Ale przed Łapami w życiu Józefa Mrocza było coś jeszcze. To coś wynikało z jego aspiracji naukowych, których mimo wszystko nie porzucił. Nie wystarczyła mu kariera pedagogiczno-urzędnicza średniego szczebla. Kiedy w roku 1957 Polskie Towarzystwo Historyczne ogłosiło konkurs na pracę z — o-

dzie elektronikiem. Zwierzałom dobrze musi się powodzić, co najlepiej widać po grubym jak waleczek Topiku.

Wraca więc pani Maria i oprócz ciasta niesie gruby, ponad czterystustronicowy maszynopis — oprawny w twarde okładki płócienne; doktorat męża. Wspólnie przeglądamy pracę. Rodzą się we mnie myśli, których być może nie powinienem głośno wypowiadać. Po co właściwie panu Józefowi był ten doktorat? Przecież nie dla tych trzystu złotych miesięcznego dodatku do pensji nauczyciela. I chyba nie dla samej tylko satysfakcji płynącej z posiadania egzotycznego, jak na Łapy, tytułu? Czy zresztą w ogóle można wiedzieć, w jakim

OGER

coś tak
uka, w
pojęciu
niem

się, z

lat sze

przenie

i Maria

Duży

szanse

pracy,

mojego

pasjon

mogł gr

n. Prac

nieszka

to zar

k

wiele, a

getnos

one, d

troche

rat, u,

wde m

o pani

serdec

Zambr

i roz

nie by

owej t

lom p

e. Liter

Mrocz

ych".

ak i p

Mroczk

nie. Tak

głada

jego fo

polskie

Metalow

własne

uczni

indy W

półczes

wał, sk

niejsze

ktorem

budowa

— mo

pisanie

tko sam

bibliot

ch po

udowa

ocji. Nie

i god

Jego wsza przelazi na mnie — mówi pan Oleś — i tak ja — obo żywiny. — Pan Oleś jest napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

napity. — Nie pieprz, Oleś — su-
napity. — Nie pieprz, Oleś — su-

— mówi z czygnacją pan Mieczysław.

Samodzielny zarząd, czyli sięgnięcie po wolną wolę, zawsze w niego było jak piewczyna wyrzucona przez wiatr. Postanowił wrócić z fabryki po odbyciu Służby Polsce. Dziś wie, że lepiej pomógłby rodzicom z Warszawy, jako robotnik „Ursusa”. Oj-

każym drobiazgu. Gdy raz postanowili pokryć dach — gmina nie dała materiału ani pożyczki. Mieli wtedy siedem tysięcy złotych, brakowało drugie tyle. Tak doszli do nędzy ostatecznej.

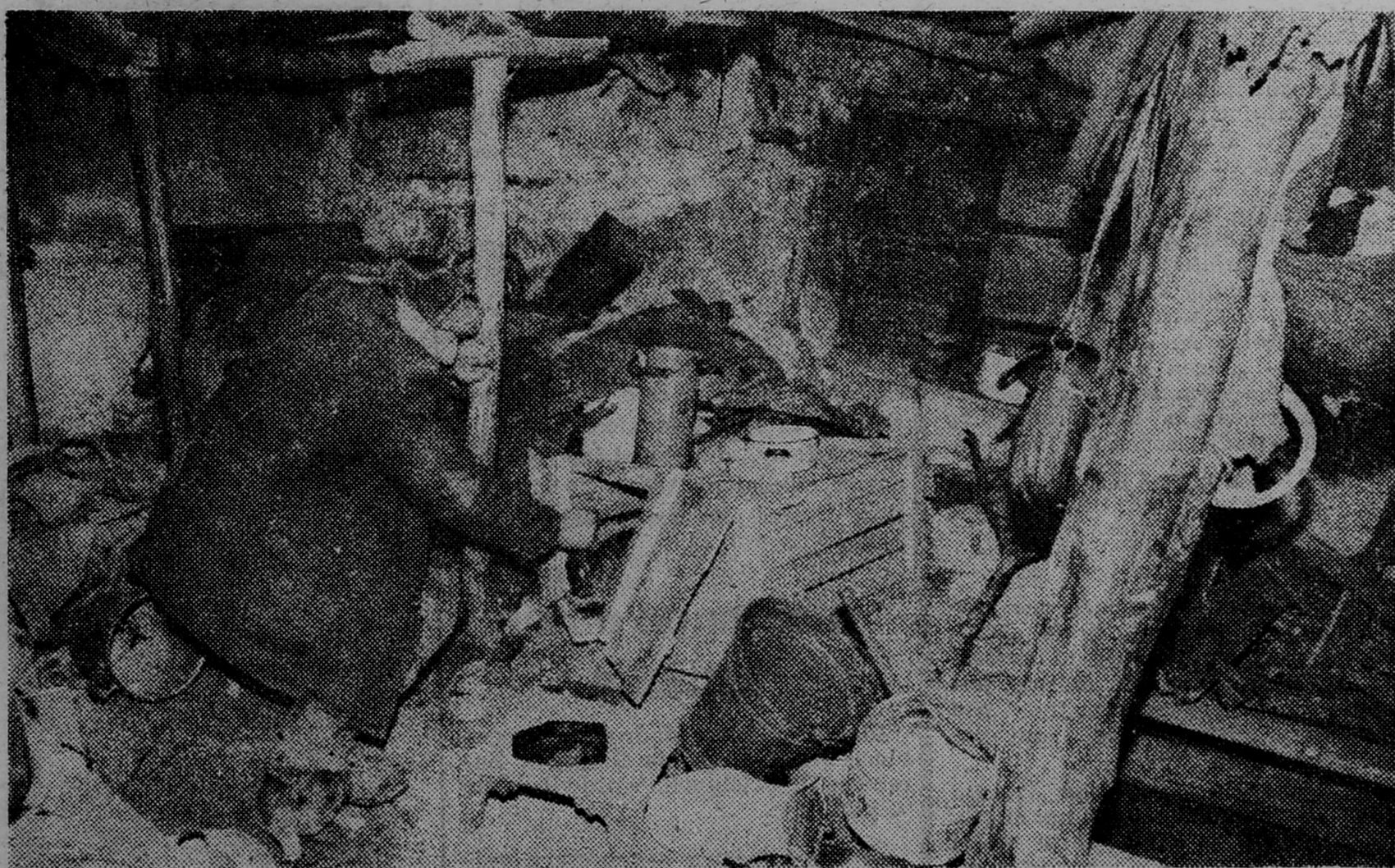
— Gdyby mną kto pokierował... — mówi bezradnie pan Mieczysław.

— Rodzina?

księga



nędzarzy



ciec też miał marny zarząd, więc i nie nigdy nie osiągnął poza robotą.

Postanowił, ożenić się. Dziś wie, że samemu gorzej niż psu. Trzyma konia, choć nie ma skrawka ziemi. — Mam dla kogo żyć — mówi. Ale bez ślubu nie byłoby zdrady. Bez zdrady, choćby tylko z koniem, byłoby źle.

Postanowił: ożenić się. Dziś wie, że lepiej byłoby zostać z żoną w pegeerze na Ziemiach Odzyskanych. Gdyby został, może nie trafiłby się jej amant. Gdyby nie było amanta, nie powiedziałby: idź swoją drogą, ja swoją.

Umyślił to — wyszło tamto. Zawsze, w każdym drobiazgu. Wspomina ojca. Było tak samo. Zawsze, w

— Z rodziny nikt nie chce się nawet do niego przyznać — twierdzi urzędowa osoba, referentka do spraw opieki społecznej, czyli spraw ludzkich.

— Obcy zawsze byli dla mnie lepsi od swolch — przyznaje pan Mieczysław.

Obcy jest pan Oleś. Ma siedemdziesiąt kilka lat. Jego roczny dochód wynosi pięćset kilogramów ziemniaków za wydzierzawioną ziemię. Nie ma emerytury. Parę razy do roku wpada mu po trzysta, pięćset złotych za pomoc w geesowskim magazynie. Pan Oleś lubi wypić, ale nigdy od Mietka nie chciał. Każę mu przyjść, ogrzać się, pozwoli położyć się w swoim łóżku.

Mietek dwa, trzy razy kupił trochę kości. Czasem przyniesie chleb. Jedzą wspólnie.

Obca jest pani Jania. Przyniosła galarety. Jeszcze przyniesie.

— Ani obcy nie mają tak dużych anielskich skrzydeł. Czasem wyciągną od niego parę setek, bo on nie widzi. Zał niektórym trzydziestu złotych miesięcznie za to, że pełni za nich nocną wartę. — Mietkiem, mówi pani Jania, musi zająć się władza. Człowiek ma tak, jak sam sobie pościele, ale niezdolny do własnego zarządu nie może w Polsce zdechnąć jak jaki robak.

— Trzeba iść do władzy — kieruje mnie pani Jania. Takie słowa każą się zastanowić. Obszedłem Radziców wzdłuż i w szerz. Tu gadalem i tam. Dlatego wiem: władza w Radzicach ma problemy.

Problem bolesny od lat: szaleć publiczny. Problem ten staje na nadach, wciska się na najwyższe szczeble gminnej kompetencji, przycicha i znowu wraca z siłą proporcjonalną do stopnia obfajdania instytucji publicznych, za którymi wieczorem skryć się najłatwiej. Problem rangi społecznej, a ja mam iść z przypadkiem?

Problem bolesny od miesięcy: silnik wodociągu piekarni. Problem wynika na zebraniach, przycicha, a gdy staje piekarnia, znowu wraca z natężeniem proporcjonalnym do braków chleba. Brak chleba prowadzi niekiedy do rewolucji. Historia uczy. Więc problem rangi państwowej, a ja mam iść z przypadkiem?

I jeszcze słyszę: kontrasty się w Radzicach pogłębiają. Coraz większa bieda i coraz większe bogactwo. Rośnie problem społecznej nierówności.

— Przypadek znany od lat. Ciężki — przyznaje naczelnik.

Po wstępnej rozmowie konferujemy w gabinecie już w trójkę. Przyjmujemy: pan Mieczysław tak mieszkać, jak dotąd, nie może, zresztą — nie ma gdzie. Nawet formalnie, bowiem w protokole przejęcia gospodarstwa jego ojca za rentę, w rubryce „Wartość budynków”, komisja przed laty wpisała: „Nie posiada”.

— W sumie — mówi po namyśle naczelnik — sprawa jest do rozwiązania.

Ustalamy: pan Mieczysław da pieniądze zarobione na etacie dozorczy

gminnego parku, gmina dołoży, co może, i pokieruje całością. W ten sposób stanie z rozbiórkowego drewna maleńki kąt. Można będzie zacząć już na wiosnę.

— ★ —

Wchodzimy z rynku w Łomżyńską. Pan Mieczysław mówi: — Trza będzie zdobyć jakiś stół i kawałek stolika.

Ustawi je pod oknem. Potem porządnie się unaję. Ugotuje sobie kaszy na kościach. I się położy. Łóżko już ma.

WŁADYSŁAW TOCKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

interwencje



kontakty kontaktów

Pracownicy Rejonowego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zambrowie każą sobie dwa razy płacić za tę samą usługę wskazaną. Jeżeli ktoś im nie zapłaci, wówczas wysyłają komornika, który zajmuje pobyty. Wtedy można już tylko szukać wiatru w polu. A teraz na potwierdzenie tego podam kilka przykładów.

W sierpniu 1981 roku zwróciłam się z prośbą do RZGKiM o wymianę zużytych urządzeń sanitarnych. Moje podanie zostało przyjęte, a w miesiąc później tytułem zaliczki wpłaciłam 2500 złotych. Dopiero w styczniu następnego roku zaczęto bawić się w pracę, choć już od pół roku leciał mi do mieszkania smród, bo była pobita muszla klozetowa. Wcześniej nie pomagały moje interwencje i prośby.

Po jakimś czasie przysłano mi nakaz uszczerzku dopłaty. Wówczas poszłam do RZGKiM spytać, dlaczego jeszcze nie wymieniono mi zlewozmywaka, czyli nie wykonano pracy, za którą każe się płacić. Rozmowa skończyła się na obietnicy, że ziew mi założą. Ponieważ znalazłam bliżej nieokreślone czasowo obietnice, postanowiłam na razie nie wpłacać należnej sumy. Ale mój spokój nie trwał długo, bo moja sprawa została wysłana do komornika. tłumaczyłam mu, że nie jestem nie dłużna gospodarce komunalnej, ale on i tak zajął mi część poborów. Poczuliłam się bardzo dotknięta i poszłam do kierownika RZGKiM z prośbą o wyjaśnienie całego nieporozumienia i zwrócenie zajętych przez komornika pieniędzy. Kierownik obiecał zająć się sprawą, zapewniał wszystko sprostować.

Pracuję w kiosku „Ruch” i muszę mieć nienaganną opinię. Zepsuł mi ją RZGKiM, wysyłając pismo od komornika do mego miejsca pracy. Jest mi teraz bardzo wstyd, no i co będą teraz o mnie myśleli moi przełożeni, skoro wiedzą, że gania mnie komornik.

Kiedy poszłam do gospodarki komunalnej z interwencją, że niesłusznie nastano na mnie komornika, jedna z pracownic sprawdziła wszystkie papiery i stwierdziła, że rzeczywiście nie mam żadnych zadłużeń. Potem przedzwoniła w mojej sprawie do osoby, która zepsuła mi opinię. Słyszałam jak rozmówczyni z drugiego końca telefonicznego kabla mówiła: Czego ta baba jeszcze chce, niech idzie do radcy prawnego, bo mnie ta sprawa nie obchodzi. Wtedy moje nerwy mnie zawiodły i pobeccałam się w biurze. Takie jest życie samotnych matek. Gdyby tę sprawę załatwiał mężczyzna, to pewnie nie bałby się strachów i powiedziałby niektórym, co o nich myśli. A mnie na koniec tylko postraszone: „Niech pani z nami nie zadziera, bo przecież i tak będzie pani nadal naszym lokatorem”. Czy takiej instytucji można zaufać?

WIESŁAWA KULESZA
ZAMBROW

★

Mieszkam na wsi, nigdzie nie pracuję, gdyż wychowuję troje dzieci. Mój mąż, który pracuje w nadleśnictwie w charakterze kierowcy, jest jedynym żywicielem rodziny. Nie posiadamy gospodarstwa i ani kawalczka ziemi.

Po urodzeniu trzeciego dziecka nie otrzymałam kartki na mięso. Kiedy mąż interweniował w mojej sprawie, dowiedział się, że kartka mi nie przysługuje, gdyż mieszkam na wsi. Otrzymałam ją dopiero wówczas, gdy dziecko ukończy rok. Czy matka niemowlęcia nie może jeść mięsa? Czy dlatego jestem gorsza, że mieszkam na wsi?

(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: o wyjaśnienie Pani sprawy poprosiliśmy kierownika Wydziału Reglamentacji Urzędu Wojewódzkiego w Łomży. Jeżeli nie posiada Pani powyżej 0,5 ha ziemi, a praca męża jest jedynym źródłem utrzymania rodziny, na podstawie Zarządzenia nr 1 Ministra Handlu i Usług jest Pani w pełni uprawniona do stałego otrzymywania kartki na mięso.

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

działek przychodzą murarze do roboty, a tu kółki wyrwane i krawa leci z krzykiem, że wara, bo ona siedlisko wykupiła na własność.

— U krawcowej najnowsza kreacja — na plac boju wchodzi prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w Szulborzu — szyla pani sekretarz gminy... Niezrażeni takim obrotem sprawy, bo architekt z województwa powiedział, że w uzasadnionych przypadkach można wywłaszczyć, sprowadziliśmy Sanajid, żeby wytoczył działkę i wydał opinię. Papiery z wnioskiem o wywłaszczenie złożyliśmy w gminie. Gdy już się plegały, posłaliśmy ówczesnego prezesa straży do urzędu. No i co? „Ano — mówi — przyjdzie trzyosobowa komisja z naczelnikami ustalić, czy dobrowolnie krawcowa odstąpi kawałek placu, czy trzeba przez sąd”. Czekamy, wypatrujemy. Ni widu, ani słyhu. Znow posyłamy prezesa. Na zebraniu pytamy, z czym wraca.

Ówczesny prezes OSP: — Inspektor budowlany tak się zachowywał, jakby nie wiedział, z której strony podnieść nasze papiery. Ramionami wznosił. Podumał. Znow ramionami wznosił. Westchnął. W dal się zapatrzył. „A to nie wiem, jak wyjdzie; ciężka sprawa — wystękał wreszcie. — Chyba przez sąd czy jak?”

— Wziąłem sprawę w swoje ręce — komendant straży przejął „wygódkową” paleczkę. — W remizie urządzane były i są zabawy: ludzie biegają na tyły dać sobie ulgę. Następnego dnia aż zatyka! A po drugiej stronie wystawiliśmy kościół. Obrazu boska i wstyd. Przyjedzie grupa operacyjna i będzie granda na całego. „Poczekajcie — uspokajali mnie w gminie — nastąpi planowa rozbudowa wsi, ujmie się sanitariat w planie perspektywnym i problem zostanie rozwiązany.” Trochę wody upłynęło, słyszę: zaświadczili. Jak z naszym wucetem? — pytam. Inspektor otworzył szafę, odnalazł mapę, rozłożył na stole. Patrzy. Czekam. On dalej patrzy.

— I co?

— Nie ma!

— Nie ma?!

— No, nie ma, nie nanieśli! Powiedział, że wyśle wniosek do województwa, żeby skorygowali i wprowadzili szambo do planu. Papiery wrzucił do szuflady; żeby myśły miały co czytać. Kilka razy zachodziłem; jak kamień za płot. Co przyjdzie, to szyderki ze mnie robi. Jak nie strzyże, to goli. Przecież nie mogłem całe życie przechodzić za tym kibelkiem! Sami go pobudujemy, dwie godziny roboty; nawet odkupiony teren. Tylko musimy dostać decyzję gminy. Jeden świstek.

niekompetentne szambo

Plakat „Śmierć jądrowa” w gablocie przed Urzędem Gminy w Zambrowie Kościelnych wprowadził mnie w konfuzję.

— Znam sprawę — sekretarz gminy, pełniący obowiązki naczelnika, nie bagatelizuje problemu. — Została przegapiona przy opracowywaniu planu perspektywnego. Musimy wystąpić z wnioskiem do Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego o wrysowanie w plan już zatwierdzony. Szybko to nie nastąpi, tak myślę. Nie wystarczy: hop, hop ołówkiem i już. To jest uzgadnianie z różnymi instytucjami, władzami, nawet w Warszawie. Strażacy też są sobie winni. Projekt planu wisiał w gminie kilka tygodni. Była konsultacja.

Środa. Dzień przyjęć interesantów. Starszy inspektor, człowiek po trzydziestce, otoczony tłumem petentów. Przechodzimy do drugiego pokoju,

ale i tutaj, krok w krok, wędrują interesanci.

— Cemu ta sprawa tak się wlece? — powtarza pytanie starszy inspektor. — Nikt do mnie z tym się nie zgłaszał.

— Wymieniali pańskie nazwisko...

— Nie mogli u mnie być — zaprzecza. — Inspektorem budowlanym była kobieta. Takie sprawy nie leżą w mojej kompetencji. Moim szefem jest WZIR, nie UW. Proszę zobaczyć mój zakres obowiązków — kładzie teczkę — modernizacja bu-

dynków gospodarczych, wodociągów, ale nie szamba!

— Niech pan spojrzy — inspektor otwiera grubą księgę zawierającą opis „Planu perspektywnego zagospodarowania gminy”.

usypianie wychodka

— „Zespół doradczy przedstawicielstwa wsi Szulborze w Zambrowie...” — dwa nazwiska. — Tak niby na tym wychodku zależy pyta. — Dlaczego więc nie zgło-

WYCHODK



Ponownie — odległe o 7 kilometrów od siedziby Urzędu Gminy — Szulborze.

— Jak to: nie zgłaszałem! — zachnął się jeden z „doradców”.

— Tylko mów redaktorowi całą prawdę — upomina żona.

— Przecież mówię — dobitnie podkreśla swą prawdomówność. — Wpierw powiedziałem, żeby wyznaczili inne miejsce pod budowę poczty, potem poruszyłem sprawę wychodka.

— I?

— Ani tak, ani siak — rozkłada ręce. — Niby słuchają, a nie słuchają; jakby przytakuja, a kręcą głowami. Jeszcze staremu naczelnikowi suszyliśmy tą sprawą głowę. Ciagle ją usypiał, aż zasnął i śpi do dzisiaj.

Stary naczelnik mieszka w okazałej willi w... Szulborzu. Od 1981 roku jest na rencie.

— Mieszkam na wsi od 16 lat i jej sprawy leżą mi, proszę pana, bardzo na sercu. Zostałem naczelnikiem, proszę pana, w 1975 roku. Akta notarialne, proszę pana, przy reorganizacji gdzieś się, proszę pana, zawieruszyły. Nim się odnalazły, proszę pana, działka zmieniła właściciela. Robilem, co mogłem, proszę pana, ale pan wie, jak trudno dzisiaj wywłaszczyć. Niewykonalne, proszę pana.

bezsilny sanitar

Władza administracyjna jest w rękach Zaręb Kościelnych. Za to polityczną sprawują Szulborze; tu mieszka młody przewodniczący ZG ZSMP (od 1981 roku), a także sekretarz terenowej POP. Tutaj ma swój dom również I sekretarz KG PZPR.

„POP Szulborze terenowa 16 XI 1982 r.

Naczelnik Gminy Zaręby Kościelne

Udzielić pomocy miejscowej OSP w rozwiązaniu problemów sanitarnych. Zaręby Kościelne 16 XI 1982 r.”

Do POP Szulborze terenowa:

„Urząd Gminy nie wie, o jakie problemy sanitarne chodzi OSP w Szulborzu. Jeśli OSP zwróci się na piśmie do Naczelnika Gminy, to w miarę możliwości będzie mógł udzielić pomocy.”

— Jesteśmy bezsilni — stwierdza przewodniczący ZSMP. — Nic więcej nie możemy zrobić. Przecież pieczęć ma naczelnik. Nie powiem: „Daj, podbiję za Ciebie”. Takich przykładów, jak nasz wychodek, jest dużo. Był wniosek o zmianę nawierzchni drogi, a naczelnik przez rok nie potrafił wysłać prostego zlecenia do Rejonu Dróg.

jest temat

— Rzeczywiście — dyrektor Wojewódzkiego Biura Planowania Przestrzennego cierpliwie wprowadza dyktanta w tajniki procesu inwestycyjnego — taka sama procedura obowiązuje przy wychodku, jak i przy wielkiej fabryce. W Zarębach często zmienia się naczelnik — zastanawiamy się nad przyczynami trwania wychodkowej epopei — a co się zmieni urzędująca ekipa, trzeba na nowo układać „Plan”, powstaje nowe lobby...

— Jest temat — pani architekt, która opiekuje się Zarębami, przynosi teczkę z pismami dotyczącymi wychodka.

lekcja

Znow środa. Znow tłumy petentów. W ciasnym pokoju pełniącym obowiązki naczelnika robi się jeszcze ciasniej. Gospodarz prosi telefonicznie starszego inspektora.

— Z korespondencją w sprawie wychodka — odpowiada pani architekt.

Wpada starszy inspektor.

— A dokumenty?

— Zaraz przyniosę.

Czekamy. Mijają minuty. Umysł idzie na górę z ponagleniem.

— Szukają — wraca z wieścią.

Czekamy.

— Trudno znaleźć — usprawiedliwia się po powrocie. — Ręce się człowiekowi trzęsą.

— Przecież musicie mieć odpisy pism, które wysyłałicie do nas? — dziwi się pani architekt.

— Gdzieś muszą być wpięte — przytakuje skwapliwie starszy inspektor. — Na pewno się znajdują.

— Słuchajcie — pani architekt zwraca się do zebranych pracowników Urzędu Gminy. — W 1979 roku otrzymaliśmy od was pismo z opinią Sanepidu; 14 kwietnia 1980 roku naczelnik wystąpił z wnioskiem o wydanie informacji na temat działki, na której miał stanąć wychodek; 31 maja 1980 roku architekt wojewódzki wydał taką informację i od tego momentu sprawę należało błyskawicznie załatwić: ulokować zlecenie na planie realizacyjnym w Zespole Usług Projektowych. A wy 6 grudnia 1980 roku ładuje-

cie do nas bezmyślnie pismo z wnioskiem o wydanie i zatwierdzenie planu realizacyjnego. Odpowiadamy wam pismem z 5 stycznia 1981 roku, że o plan realizacyjny należy się zwrócić do Zespołu. W międzyczasie, 20 marca 1982 roku, otrzymujecie zgodę na zmianę sposobu użytkowania gruntu na nierolnicze; 30 marca 1981 roku, z uporem maniaka, ponownie zlecacie nam wykonanie planu realizacyjnego; 13 kwietnia 1981 wysyłamy pismo, gdzie należy się z tym zwrócić; 4 czerwca 1982 roku Urząd Gminy prosi o odpis z informacji. Ile czasu informacja jest ważna? — patrzy po zebranych.

Cisza jak w klasie.

— Trzy miesiące — wyjaśnia. — Mimo to 19 czerwca 1981 roku potwierdzamy jej ważność.

A to już styczeń 1984 roku.

— Dlaczego nie umieściliście wychodka w planie perspektywowym? — docieka p.o. naczelnika.

— Na planie w skali 1:10 000 nie zamieszcza się takich „ogryzków” — pani architekt jest załamana jego nieświadomością, elementarnych dla niej, spraw. — Bo jak? Kropką? Takie drobizgi mogą się znaleźć na planie realizacyjnym w skali 1:500. Sporządzenie planu to półtorej godziny roboty. Technik z gminy niech zrobi parę kresek i cześć pieśni!

— Ja tu jestem czwartym inspektorem z kolei — znajduje wytłumaczenie starszy inspektor.

— Proboszcz budowę wielkiego kościoła w Szulborzu załatwił w dwa lata — zdziwił się nagle p.o. naczelnika — a my ten cholerny szalec tyle lat ciągniemy!

Gdy wychodzę, pani architekt kontynuuje „pater noster”. Jeszcze dziesięć tego typu spraw zostało zawalonych.

świadek

Piętro wyżej — w gabinecie I sekretarza KG PZPR.

— Obserwuję tę całą aferę od samego początku — opowiada I sekretarz. — Sam jestem strażakiem OSP w Szulborzu. Żeby było zabawniej, p.o. naczelnika jest komendantem nad wszystkimi ochotniczymi strażami w gminie. Dlaczego to się ciągnie już 9 lat?

Główna przyczyna — sekretarz wali prosto z mostu — brak chęci do pracy, brak instynktu działania dla otoczenia. Pierwszy naczelnik (niech mu ziemia lekka będzie), z dorobionym wykształceniem, na dobrą sprawę nie potrafił nawet prostego pisma zredagować. Drugi (od 1975 roku) był dobrym fachowcem, ale interesy gminy stały u niego dopiero na czwartym planie. Trzeci miał wykształcenie i znał się na rzeczy, ale zupełnie nie rozumiał tujszego środowiska. Był krótko. Z kolei inspektorzy migali się od roboty. Oni, oczywiście, uważają, że pracują dobrze. Jeżeli interesant odchodzi nie załatwiony, to wina interesanta, bo był natrętny albo że stanął przy biurku...

Następnie — kontynuuje sekretarz — duża fluktuacja kadr. Urząd Gminy traktowany jest przez młodych jako stacja przesiadkowa. Brak mieszkań; płace też nie przyciągają fachowców. W Urzędzie pracują ludzie po pół roku bez zakresu czynności, bez opiekuna. Istotną rolę grają też powiązania. Dzięki temu krawcowa nabyła działkę nieformalnie.

Tutejsze tereny — kończy refleksje sekretarz — po ostatniej wojnie są ciężkie politycznie. Władza opornie się przyjmuje. Opinia, jaką wystawia sobie codziennie Urząd, opór ten umacnia i potwierdza. Więcej: przeciętny mieszkaniec gminy utożsamia się pracujący Urząd z władzą w ogóle.

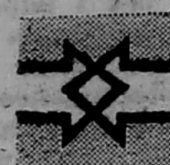
szalec postępowy

Pragnę uprzedzić ewentualny zarzut, że gloryfikuję sanacyjną politykę szalecowa. Stawiane wówczas, na rozkaz premiera, „sławojki” były strzeżone przez solidne klody, otwierane tylko i wyłącznie podczas dygnitarskich wizyt.

Natomiast publiczny szalec, który stanie w Szulborzu, będzie szaletem na wskroś postępowym, dostępnym dla każdego w dzień i w nocy, bez względu na wiek, płeć i stanowisko.

FOT. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



9
KONTAKTY
12 B4984

Jedna z mieszkańek Łomży otrzymała do niedawna emeryturę w wysokości pięciu tysięcy złotych. Ostatnio, w związku ze wzrostem cen, zainkasowała podwyżkę i lekką ręką bierze odtąd złotych pięć tysięcy dziesięć. Co użyjem, to dla nas, bo za sto lat i tak każdy dostanie według potrzeb.

*

Od dłuższego czasu kierowcy MZK — wyjeżdżając z zajeżdźni — bezsilnie zgrzytają zębami na widok ogromnej dziury w ulicy Spokojnej w Łomży: nagromadzona woda niszczy hamulce, lód grozi karambolem, a dziura sama w sobie — urwaniem kół. Wszelkie interwencje jedynie pogłębiły przepaść niezadowolenia pracowników Zakładu. Czas więc, by temat wreszcie przekonsultować, skoordynować, zaplanować, zaopiniować, zainicjować. Albo wziąć się, k..., do roboty!

*

W ostatnich dniach dostaliśmy na ząb: chleb z piekarni nr 2 w Łomży, przypominający przekładaniec zacnych Żulusów; włos wyłowiony z Pepsi-Coli, podanej w restauracji hotelu „Polonez” oraz musztardę nadziewaną — niezbyt drobno tłuczonym — szkłem, rodem z wytwórni w Białymstoku. Dziękujemy — haf-tujemy.

*

Z okazji II Zjazdu Związku Młodzieży Wiejskiej w Łomży jedno z kół przygotowało biuletyn sumujący dokonania i wydarzenia, prezentujący delegatów oraz wybór publikacji prasowych na temat organizacji. Gotowym już wydawnictwem zajął się nagle supercenzor amator, wiceprzewodniczący ZW (po Zjeździe — przewodniczący), który nawet w przytoczonej wypowiedzi byłego przewodniczącego Zarządu Krajowego (obecnie sekretarz KC) „w-węszył podtekst polityczny”. Był smród czy tylko pachniało brzydko, ob. Przewodniczący?

*

Ogłoszenie drobne. Obok kiosku z hot-dogami przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie w Łomży znaleziono świński ryj. Ktokolwiek stwierdził powyższy ubytek, proszony jest o zachowanie tajemnicy.

*

Mieszkańcom Grajewa ogromnie nie spodobały się zamieszczone w „Kontaktach” zdjęcia, na których znaki drogowe w „zdejtej” uliczce ich miasta przedstawiały „przejęcia dla świń”. Spieszymy więc do-rzucić, że świnia, której tak zaswi-niono, była w prawdę.

*

Pół roku przecieka dach nad sto-liskiem nabiłowym w „Błazaku” w osiedlu Jantar w Łomży. Nie są to te skały (czyt.: pały), którą drążyć powinny kropie. O putta cova!



Twierdzą w sposób zdecydowany, że wszystkie linie podziatu, jakie przebiegają w tonie naszego narodu, dotkniętego rozlicznymi klęskami — zarówno te pigołowe, jak i poprzeczne, czy podłużne — są nieczym w porównaniu z grubą na łokieć granicą, która dziei społeczeństwo na piwo — zdecydowanych przeciwników piwa. Wrogowie i miłośnicy tego napoju swoje namietności hodują od lat nieskończenie wielu, zaś początki całej sprawy giną gdzieś w pomrokach dziejów.

Prehistorycznie rzecz ujmując — już Plaster Kotodziej musiał nieźle narazić się żonie swojej, Rzepiszce, kiedy to podczas pamiętnych podstrzyżyn syna Ziemowita urządził takie pijaństwo, że rychło zabrakło piwa i gdyby nie dwaj obcostrajowcy-słowianie, byłaby niechluba plama. Wprawdzie nie wiemy na temat przebiegu samej kłótni, ale że fizyczne istnienie Kotodzieja też nie jest takie zupełnie pewne, więc wszystko się mniej więcej zgadza.

W czasach znacznie już późniejszych, zanim do Polski nie sprowadzono pierwszych ziemniaków, piwo — obok miodu — stało się narodowym napojem Polaków. Literatura średniowieczna, na przykład, roi się od opisów uczt i bankietów — suto podlewanych piwem i prostoprost ze stągwi czy nawet beczek. Tam też spotykamy pierwsze poważne ostrzeżenie przed nadmiernym spożywaniem diabetycznego płynu, który „rozum odbierając bezech rozdyma, a czyni z człowieka opoją y wieprza”.

I cóż dziwnego zresztą, że piwo zastąpiło sobie na taką opinię, skoro wojska kwarciarne tamtych czasów nie ruszyły do najmniejszej nawet potyczki, jeśli przedtem nie ożłotały się wywarem z chmielu? Nawiasem mówiąc: zwróćmy, proszę, uwagę na fakt, że stan opilstwa nazywa się u nas „podchmieleniem”.

co najlepiej chyba świadczy o tradycyjnych skłonnościach rodaków. Nasz bohater narodowy, Onufry Zagłoba, też miałby snarodo powiedzenie na powyższy temat, ale zostawmy go w spokoju i przejdźmy do czasów nam współczesnych.

Rozważając otóż problemy alkoholizmu w świetle najlepszej w świecie ustawy antyalkoholowej, którą — mimo jej doskonałości — systematycznie, co pewien czas, udoskonalamy, należy stwierdzić, że w paragrafie dotyczącym piwa jej litera jest ciągle trochę jakby nie-

jest towarem nietrwałym. Tymczasem, jak możemy się domyślić, ustawodawca miał wpływ jedynie na ostateczny kształt ustawy. Dążyło więc do sytuacji, w której piwo magazyny pękają w szwach, piwo kwałnie, a grono — po różnych skądinąd — ludzi radzi nad tym, co robić, żeby w kwadraturze chmielowego kota doszukać się przynajmniej czegoś na kształt owatu. Jest to zadanie raczej niewykonalne; przy zamianie kwadratu w koło albo szprychy trzaskną, albo obreć popęka.

Jednakże nie wszyscy zdają się

dużv kłopot z małym jasnym



TOLANSKI

wyraźna. Wprawdzie ostatni dokument plyn ten zaliczył do napojów wysokotowych, a więc objętych częściową prohibicją w godzinach przedpołudniowo-porannych, ale już chodzą słuchy, że w bliżej nie danym się przewidzieć terminie ma to ulec zmianie lub przynajmniej modyfikacji. Rzecz w tym, iż piwo, w odróżnieniu od innych alkoholi,

o tym wiedzieć, czego najlepszym przykładem mogą być — odżywające po kilku latach przerwy — tak zwane dyskusje zastępcze, również telewizyjne. W jednej z nich, bodaj sprzed dwóch tygodni, przedmiotem ataku stał się nasz nieśmiertelny chłopiec do bicia — handel. To, oczywiście, on wszystkiemu jest winien, i gdyby tylko

trochę sprawniejsza organizacja, wszystko byłoby cacy. Wilk syty owca cała! Magazyny puste i nikiego pijaństwa na ulicy, słowem: pełna zgoda kwietnej ustawy ze znakomitym przemysłem browarniczym, który nigdy dotąd nie przeżywał głębszego kryzysu.

W tej samej audycji nastąpił też powrót do starej piosenki pod nazwą Kultura Picia Piwa. I znówu jej refren, jak i ongiś, po-brzmiewał fałszywie, bowiem wiek-szość dyskutantów łączy tę kultu-rę z w miarę nie wyszczerbionym kuflem i kawalkiem kręsta pod zadek w mordowniach zwanych pijalniami piwa. Jeśli piwosz ma jeszcze przypadkiem zrobić gdzieś siusiu, to już nawet superkultura. Ludzie drodzy, a może byśmy się tak w końcu przestali wzajemnie oszukiwać i powiedzieli sobie wreszcie, że marzenia o angielskich pubach, w których Anglicy całę wie-czory spędzają nad kufkami por-te-ru, są całkowicie nierealne w na-szych warunkach.

Co tu zresztą dużo mówić, kie-dy właściwie nie ma o czym ga-dać. Przecież nie odkrywam żadnej Ameryki. Wszyscy wiedzą, że butel-ka wódki kosztuje w sklepie tyle, co trzydzieści flaszek piwa. Wystar-czy na zdrowe zaprawienie i na kaca jeszcze zostanie. A że trzeba czekać do trzynastej? Ten i ów już o trzynastej minut czterech bierze ze sklepu kilka skrzynek; ograniczeń w tej mierze żadnych nie ma. Do jutrzejszego południa czasem wy-starczy.

ANDRZEJ WIESŁAWSKI

PS. Mam jeszcze informację, któ-rą — przy odrobinie dobrych chęci — można uznać za pozytywną. Oto wraz ze stałym wzrostem produk-cji browarów na leś i szyję spada jakość produkowanego w nich pi-wa. Kto nie wierzy, niech pociąg-nie tylko łomżyńskich „Laleczek” Woda z mydłem!

Rys. Marka Polańskiego

ZYCIE TOWARZYSKIE

pozwolenie na schron

W końcu grudnia powinien być mróz, a nie chłapanina. Coś się jednak w przyrodzie roz-regulowało; niewykluczone, że z po-wodu rakiet. Boże Narodzenie prze-glądało się w kałużach, potem przy-szły dni mgliste jak w angielskiej literaturze. Wykop Stefana Cz. rozmarzał, obsuwała się ziemia ze ścian, a na dnie zrobiła się bryla. Na domiar złego przyczepił się blo-kowy.

— To wy prowadzicie roboty ziemne? — natural na Stefana Cz. któregoś dnia po świętach. Ten milczał, najwyraźniej zaskoczony, że zwykła dziura w ziemi, jakich na osiedlu setki, może kogoś inte-resować.

— Mówcie, na czyje zlecenie?

— Ja tak sobie — stropił się pan Stefan.

— Tylko bez bajeru — blokowy poczuł, że uderzenia trafiają; jesz-cze kilka ciosów, a przeciwnik od-stoni się. — Macie pozwolenie?

— Nie wiedziałem — bąkał na-padnięty — że będzie potrzebne...

— To wasze pole przed blokiem, że możecie na nim robić, co wam tylko strzeli do głowy?

— Ależ, panie blokowy — pan Stefan ujął go za łokieć, jakby chciał odprowadzić na stronę, i na-chylając twarz wyszeptał: — To właściwie sprawa wojenna, nie po-winieniem mówić, ale skoro pan na-lega...

— W porządku, panie Stefku. Ja tylko tak, w interesie mieszkań-ców. Pan rozumie, co by to było, jakby każdy zaczął kopać.

— Czemu nie? — Stefan Cz. u-wolnił ramię blokowego. — Uwa-żam właśnie, że każdy myślący i odpowiedzialny człowiek powinien wybudować schron dla siebie i swojej rodziny. W odpowiedzi na rakiety...

Blokowy ani myślał sutchać; po prostu wziął nogi za pas. Stefan Cz. poszedł niespiesznie nad wykop, pomedytował chwilę, następnie zaś wrócił do mieszkania. Wczesnym popołudniem widziano go przed wejściem do banku. Zapewne chciał podjąć oszczędności, by kupić za nie cement, rury stalowe oraz wszystko, co niezbędne do zbudowania solidnego, w miarę wygod-

nego schronienia przed falą ude-rzeniową i promieniowaniem. Czy to jednak przestraszył się tłumów nacierających na bank po odbiór bonów rewaloryzacyjnych, które z końcem roku miały utracić waż-ność; czy też przyszło mu do głó-wy, że właściwie nie ma pojęcia, jak taki schron powinien wyglą-dać, w każdym razie nie podjąwszy pieniędzy zjawili się u architekta miejskiego.

— Czy ma pan typowe projekty schronów przeciwoatomowych? — za-pytał dziarsko od drzwi.

Architekta miejskiego bolała aku-rat głowa. Ruchem ręki przywołał petenta bliżej biurka, po czym po-łożył palec na ustach. Stefan Cz. ponowił pytanie półgłosem. Archi-tekta pokręcił głową z widocznym wysiłkiem, powieki mu opadły, na czole zaświecił pot. Pan Stefan po-stał chwilę niezdecydowany.

— W takim razie przyjdę po Nowym Roku.

Architekt nie zareagował. Nie po-zostało nic innego, jak wyjść.

I wszystko toczyłoby się dalej swoją koleją... Alieści w noc sylwe-strową do wykopu wpadł jakiś waźniak, na domiar złego z panienką. Pan Stefan nie o tym nie wie-dział. Zapewne pospieszyłby z po-mocą niefortunnej parze i może na-wet załagodził incydent, spał jed-nak w najlepsze po trudach roku, a już zwłaszcza grudnia. Waźniak z panienką, wydzierali się ponoć ze dwie godziny, coraz głębiej zapa-dając w błoto, ich krzyki ginęły jednak w tumale świętowania. Huk petard i piski biesiadników, buczenie telewizorów, zlewały się ze sobą, świdrując w uszach, ale nie Stefana Cz., niestety. Waźniak już dawał za wygraną i niechybnie byłby się ułożył w miękkim i ciepłym dnie wykopu, kiedy przy-szło mu do głowy, żeby podsadzić panienkę. Ta jednak zamiast spro-wadzić pomoc, pobiegła najpierw wziąć kąpiel, przebrać się i zro-bić nowy makijaż; waźniaka wy-ciągnięto dopiero przed świtem.

Stefanowi Cz. natomiast ktoś życzliwy poradził w pierwszych dniach nowego roku, że nie ma po co jechać do składnicy z materia-łami budowlanymi, dopóki nie za-latwi na nie przydziału w urzędzie miejskim.

— Co chcecie budować? — za-pytał uprzejmie urzędnik. Kiedy Stefan Cz. doczekał się swojej ko-lejki.

— Schron przeciwoatomowy.

Urzędnik zajął do skoroszytu leżącego na biurku przy telefonie.

— Obawiam się, że to niemożli-wie.

Wyciągnął z szuflady plik papie-rów, przekartkował je, pewnie dla zabicia czasu.

— Mnie obowiązują priorytety. Rozumiecie, budownictwo mieszkaniowe w pierwszym rzędzie, bo to kwestia polityczna. Wy macie gdzie mieszkać, więc nie doceniacie. Ma-rzy wam się drugie lokum, podczas gdy młode małżeństwa nie mają jeszcze pierwszego.

— Nie lokum, tylko schron — sprostował Stefan Cz.

— Nazywajcie, jak chcecie. Przed wami byli tacy, co mówili na to: dachy, altanki, letnie kuchnie i jak skończyli?

Pan Stefan nie wiedział. W każ-dym razie nie odzywał się.

— Po mieszkaniówce idzie bu-downictwo inwentarskie, gdyż mu-simy wyżywić się sami. Od roku hodowla spada, a pokrycie przy-działów kartkowych, na dodek w warunkach restrykcji Zachodu, jak myślicie, trzeba zapewnić?

Nie doczekawszy się potwierdze-nia, ciągnął:

— Otóż trzeba bezwzględnie. A schron, skoro upieracie się, że to ma być akurat schron, nie, dajmy na to, pieczarkarnia — co komu z niego przyjdzie?

Wyciągnął ze sterty jakieś pi-semko, zamyslił się.

— Zresztą schronów dla ludności nie ma w rozdzielniku. Najwidocz-niej można z tym poczekać.

— Wszyscy Szwajcarzy mają już schrony — obruszył się Stefan Cz. — A pan każe mi czekać! Do kie-dy?

— Aż będzie materiałów pod dostatkim.

— A to dziękuję — pan Stefan zapragnął czym prędzej znaleźć się na ulicy.

— No, a papiery wszystkie ma-cie zgromadzone?

— To znaczy jakie?

— Mam tłumaczyć jak dziecku? Przydział działki, pozwolenie na rozpoczęcie inwestycji, zapewnienie kredytowania, projekt budynku, kosztorys, nadzór techniczny...

Stefan Cz. nie wiedział, co od-rzec. Pomyślał o bagnistym wyko-pie pośrodku trawnika i zrobiło mu się niewyraźnie.

— To co mi tu głowę zawracacie materiałami? — rozeźlił się urzę-dnik. — Budowy nie zaczyna się od dymu z komina.

Po drodze Stefan Cz. miał jesz-cze zajrzeć do architekta, jednak rozmyślił się. Wróciwszy do miesz-kania zastał listonosza, który kazał

pokwitować, po czym wręczył wez-wanie na kolegium do spraw wy-kroczeń przy prezydencji. Jak pech, to na wszystkich frontach. Pan Ste-fan wystąpić miał w charakterze oskarżonego o to, iż rozmyślnie i samowolnie prowadził prace ziemne na terenach spółdzielni mieszkaniowej, czym naruszył ład i porządek w miejscu publicznym oraz zasady współzycia społecznego, narażając jednocześnie na szwank zdrowie i życie mieszkańców osiedla, zwał-szcza młodych matek z dziećmi na ręku. Pozwany w pierwszej chwili zbierał, a ochłonawszy nieco — wdroył śledztwo wśród sąsiadów. Wyrzucany co i raz, wygrażał na schodach pięściami i pokrzykiwał: — Ludzie, opamiętajcie się, póki nie jest za późno! Czy nie widzie-cie, że Pershingi wycelowane są w naszą stronę?!

Nazajutrz przybiegł do mnie roz-trzęsiony.

— To na pewno robota blokowe-go! — powtarzał, opowiadawszy chaotycznie swoje perypetie. Nala-łem mu kropelek, które cudem oca-lały z Sylwestra.

— Niech pan nie biadoli, może nie wszystko stracone — zacząłem ostrożnie. Nalałem jeszcze raz. Chyba poskutkowało, bo pan Stefan przestał pomstować. Powoli doszliś-my do wspólnego wniosku, że wy-kop trzeba odpisać na straty, a naj-lепiej — zasypać. Jeszcze się taki nie urodził, który wygrałby z ko-legium. Oszczędności, które miały posłużyć na zakup materiałów, pójdą na opłacenie kary. Czy zo-stanie coś na kupienie działki?

— Powiedzą mi, że wolne tere-ny pod budownictwo są jeszcze pod Tykocinem lub w Kleszczelach, już ja ich znam. Jak się tam dostane w godzinę ataku?

— Głowa do góry, może znajdzie się kilka metrów na peryferiach miasta. Tak czy inaczej musi pan się wstrzymać, przynajmniej na ra-zie.

Zaprotestował. Instalacja amery-kańskich rakiet w Europie nie poz-wala na jakakolwiek zwłokę.

— Pewnie ma pan rację — po-wiedziałem ugodowo. — Powinien pan jednak wiedzieć, że schronów nie buduje się na oczach wszyst-kich, tylko pod osłoną nocy i cały czas dokładnie maskując, żeby nie tylko blokowi, ale nawet satelity szpiegowskie niczego się nie do-myślały.

— Otóż to. Następnym razem bę-dę o tym pamiętał.

JAN KWASOWSKI





Łomżyńskie słyły z urody, tego zdania byli panowie od-
wiedający Łomżę, a już na-
 pewno — miejscowa pieć męska. Jed-
ną z najładniejszych była Zosia Kra-
jewska, której zdjęcie zamieścił „Ty-
godnik Ilustrowany” w 1925 r.

Nie więc dziwnego, że i sławny
poeta — Bolesław Leśmian nie o-
parł się wdziękowi pięknej łomży-
nianki.

Mieszkał ongi w Łomży ceniony i
znany doktor Włodzimierz Chyliński.
Zoną jego była Paulina z Sawickich,
wnuczka Kondratowiczówny (siostry
Syrokomli). Małżeństwo to miało 3
dorodne córki: Marylę, Zofię i Re-
nię. Doktorstwo mieszkali przy ul.
Wiejskiej. W 1908 roku przenieśli
się do własnego domu — wybudowa-
nego przez znanego wówczas w
Łomży architekta Przecławskiego —
przy ul. Adamowskiej, obecnie Ber-
natowicza.

Zofia przebywała przeważnie za
granicą. Od dzieciństwa wykazywa-
ła duże zdolności plastyczne. Rodzi-
ce nie szczędzili kosztów, by ją u-
czyć w obranym i umiowanym kie-
runku. Była uczennicą Ksawerego
Dunikowskiego. Uczęszczała na pry-
watne lekcje do Gersona, a później
od 1903 r. kształciła się w Akademii
Sztuk Pięknych w Paryżu. W 1905
roku wyszła za mąż za Bolesława
Leśmiana (1878—1935).

11 listopada 1905 r. w Bretanii
przyszła na świat Leśmianom córka
Maria (Lusia). Leśmianowie zawieźli
swoją „dopust Bóży” do rodziców do
Łomży na dłuższe, prawie sześciol-
etnie, odchowanie, a sami mogli
swobodnie rozkoszować się nauką,
twórczością, sztuką i poezją. W 1908
urodziła się im druga córka — Wan-
da, nazywali ją Dunia. Wyrosła na

piękną, przystojną brunetkę, nawet
z zachowaniem przypominała matkę
Starszą, zaś Maria — była drobna,
jasnowłosa, o chudej twarzy i wy-
datnym nosie — przypominała ojca.
Dziadkowie kochali swą wnuczkę
Marysię, jeździli z nią na spacer
do Lasu Jedniaczewskiego, nad rze-
kę, zabawiali, aby miała nie tęskni-
ć za rodzicami.

W pokoju Lusi u dziadków znaj-
dowała się szafa, na której drzwiach
wisiły malowane przez Zofię Le-
śmianową cztery postacie z „Pana
Tadeusza”. Wojski wymachiwał swą
nieodłączną laską na muchy, obok
poważnie kroczył ksiądz Robak w
habicie, u dołu Zosia w kontusiku
zerkająca nieśmiało w stronę Tadeu-
sza, który stał dalej w ubiorze na-
polońskiego legionisty.

W 1912 r. matka zabrała Lusię z
Łomży, i wyjechała do Cannes, na
Riwierę.

Zofia z Chylińskich Leśmianowa
była, utalentowaną malarką, organi-
zowała wystawy w warszawskiej
„Zachęcie” i w Paryżu. Muzeum Na-
rodowe zakupowało jej obrazy.

Niestety w pożodze drugiej woj-
ny światowej zginęła w Warszawie
znaczną część jej dorobku.

Przebywała w obozie śmierci w
Mauthausen; po wyzwoleniu wyje-
chała do Włoch; potem do Londynu.
Wreszcie znalazła się z córką Maria
w Argentynie, tam też zmarła w
1954 r.

Gdzież tych łomżyńiaków, nie ma
HELENA CZERNEKOWA

PS. Z uczuciem serdecznej przy-
jaźni Bolesław Leśmian dedykował
przepiękną „Łakę” łomżaninowi, Eu-
geniuszowi Smiarowskiemu, co rów-
nież jest świadectwem związku poe-
ty z naszym miastem.

Cóż lepiej świadczy o wieczy-
stym nurcie ludzkiego żywo-
ta niż chleb powszedni.
Pierwszy — jeszcze wiejski — po-
żywałem za rzeką, w Piąticy. Za-
rabiany w drewnianej dzieży z
grubo mielonej w żarnach żytniej
maki, pieczony w domowym piecu
na tataraku, na liściach kapusty lub
chrzanu, konieczne po dwanaście
dużych bochnów na raz. Ciężki,
trudny do krojenia dziecianną ręką,
lecz jakże smakowity i pożywny,
szczególnie z miodem lub z praw-
dziwą, gęstą śmietaną.

Po dziesięciu latach wypadło mi
się żywić innym — łomżyńskim
chlebem, który już trzeba było ku-
pować.

A łomżyński chleb — to Wej-
roch!

Wiele było w mieście piekarni,
ale prawdziwy, najlepszy chleb po-
trafił wypiekać tylko mistrz Wej-
roch z ul. Długiej. Bywałem tam
co dzień, bo matka usiłowała zaró-
bić na życie rodziny handlowaniem.
W ciasnej, ciemnej suterence na ro-
gu Senatorskiej i Zielonej, w do-
mu Kozłowskich, prowadziła skle-
pik spożywczy.

Na mnie spadł obowiązek co-
dziennych wypraw do Wejrocha po
świeże, gorące bułki.

Ciężka to była robota dla czło-
wieka, który przeżył dopiero nie-
cały dziesięć lat. Musiałem wstać
rano, skoro świt. Latem — to jesz-
cze nie; chyba że deszcz, ale jesie-
nia, zima? Do tego w lichym, „cy-
wilnym” ubranku i na bosaka, że-
by szkolnego mundurka nie znisz-
czyć, ani butów nie pochłapać.

Zaciskając w garści pieniądze
biegłem — dygocąc z zimna —
pod górę, aż zmarznęte paluchy
bosych nóg zaczęły parzyć.
Już Stary Rynek — ciemny

jeszcze i pusty, już Długa już nie-
daleko! Sklepy jeszcze pozamyka-
ne, ale u Wejrocha drzwi otwarte.
Więc jednym skokiem do środka i...
szczęśliwość! Niewysłowiona, naboż-
na błogość: ciepło! Nie takie od
pieca, które grzeje tylko z jednej
strony, lecz zewsząd — jak woda
otulająca plecy i nogi, i głowę, i
ręce, przenika aż do wnętrza, obez-
władnia wśród ostatnich drżeń ca-
łego, przemarniętego ciała... Mijam
szybko, pusty jeszcze i ciemny,
frontowy sklep, za nim obszerna
izba, w środku podłogi — kłapa do
podziemnej piekarni, wokoło pod

chleb powszedni

ścianami już kilkunastu takich jak
ja, z koszami.

Jeszcze chwilę trzeba poczekać.
Odurza zapach gorącego pieczywa,
ciepło morzy snem i klejoczy, ale
głód żarłoczny, niecierpliwy, skreca
wnętrza i już człowiek nie
wie, co jest trudniejsze do wytrzy-
mania.

Na szczęście kłapa otwiera się i
z dołu wyjeżdżają ogromne wikli-
nowe kosze pełne gorących bule-
czek. Są tu w gwiazdkę wyrzeźbio-
ne „kajzerki”, okrągłutkie jak pi-
leczki „montówki”, podwójne „par-
ki”, rogaliki i lakierowane — ku-
szące najbezczelniej — obwarzanki.
Podstawiam swój kosz, przez ściś-
nięte gardło szepczę: — „Sto dwa-

dzieścia” — i z każdą sekundą sta-
ję się coraz bardziej bogaty, a za-
razem nieszczęśliwy. Wiem, że nie
wolno mi ani kawałka zjeść. To nie
dla mnie. Dla ludzi, na sprzedaż.
Mam wszystkie donieść do domu
i policzyć. Nawet jeśli znajdzie się
jedna nadliczbowa, matka mi jej
nie da, tylko wymienię na wczoraj-
szą. I smutno mi, bo wiem, że
te świeże, chrupiące bułeczki roz-
drapią zaraz chciwe, a niewypła-
calne, klientki mojej matki „na
książeczkę”, czyli na kredyt.

Ale czeka mnie jeszcze inna,
znacznie cięższa próba: mam
kupić dwadzieścia gorących
serdelków u Jakubowskiego.

Tak, jak Wejroch królował w
pieczywie, jego sąsiad i przyjaciel
— Jakubowski słynął ze swoich
wędlin. Swoją dom, warsztat i sklep
miał tuż obok Wejrocha i jak każ-
dego ranka Wejroch dostarczał lu-
dziom chleb, tak Jakubowski ser-
wował gorące serdelki.

Ale jakąż to była tortura dla
głodnego, niedospanego chłopaka!
Z zaplecza sklepu czeladź znosiła
na drewnianych drążkach parujące,
długachne wianki gorących, pach-
nących wędzonką serdelków. Zama-
wialem dwadzieścia, pożerając je
nieprzytomnymi z głodu oczami. A
zła lady patrzyła na mnie, na mój
żarłoczny głód młoda, uśmiechnię-
ta dziewczyna. Przebiegała zwinnymi
palcami po serdelkowym różań-
cu i... ciach! Rzuciła je na papier
i z uśmiechem podawała. I już po
jej uśmiechu wiedziałem: ciachnęła
o jeden za dużo. Dla mnie. Za ten

szczęściwy głód którego nie mog-
łem ukryć.

Już pełen więc szczęśliwości, nie
czując wyrzutów sumienia za ten
wspólnie z dziewczyną podkradzio-
ny panu Jakubowskiemu serdelek,
gnąłem ostrym klusem do domu, a
na świecie robiło się widno i trze-
ba było się spieszyć, by się nie
spóźnić do szkoły.

Od tamtych lat różne chleby
i różne mięsna jadalem w
różnych stronach świata. Róż-
ne głody i różne smaki — prze-
platające się kolejno jak pory ro-
ku — wypadało mi przeżyć i wy-
próbować. Ale łomżyński chleb i
łomżyński, gorący serdelek — zwi-
zane na zawsze z rodami Wejro-
chów i Jakubowskich — zachowuje
w pamięci nadal.

Dziś wiem o tych sprawach znacz-
nie więcej. Wejroch i Jakubowski
— obydwaj należą do wymarłego
już dziś pokolenia rzetelnych, uczci-
wych, zamilowanych w swej pra-
cy rzemieślników, dbających o ho-
nor, o pokazanie go w każdym ka-
walku swych wyrobów w przekona-
niu, że są najlepsze, uczynione
tak pieczołowicie i starannie, że nie
tylko syca głód, ale są dowodami
sąsiedzkiej życzliwości i szacunku
dla ludzi swego rodzinnego miasta.

Nic tedy dziwnego, że się z
czasem dorobili — i nie tylko ma-
jątku, lecz również uznania i po-
ważania. Stali się po prostu częścią
rodzinnego miasta, wrosli w jego
codzienne życie i długowieczną
historię.

Można im tego zazdrościć.

A można też próbować, podob-
nie jak oni, zapuszczać głębokie ko-
rzenie w rodzinną glebę i trwać w
niej poza kres ludzkich żywotów.

STANISŁAW DĘBOWSKI



Tu ongi mieściła się masarnia Jakubowskiego.



Dawniej w tym właśnie miejscu kupowało się bułeczki u Wejrocha.



country mon amour

Dom Środowisk Twórczych rozpoczął nowy rok bardzo udaną imprezą muzyczną — nie zawiedli nie tylko muzycy, ale i publiczność. Większa niż zazwyczaj

wykładem na temat historii muzyki country. Na wykład składa się bardzo dowcipna mieszanka słowno-muzyczna. Zaczyna się on od angielskiej pioseneczki w stylu francus-



frekwencja sprawiła zapewne przyjemność i gospodarzom, i muzykom, gdyż Tomasz Szwed nie ukrywa, że na jego koncerty nie zawsze przychodzi tłum fanów.

— Wynika to nie tylko z tego, że z zespołem „Poker” gramy dopiero od maja i nie jesteśmy zbyt popularni, lecz przede wszystkim z faktu, że muzyka country jest wciąż w niełaskach u tzw. szerokiej widowni.

Być może dlatego Tomasz Szwed swój właściwy występ poprzedza

kiej pastourelle — „Dokąd idziesz piękna panienko”, która miała być ulubionym „przebojem” na dworze angielskiego króla Henryka VIII, sześciu ludowych tańców oraz koled irlandzkich i szkockich. Następnie niecodzienny wykładowca z gitarą przedstawia różne style amerykańskiej ludowej piosenki, na którą wpływ miały nie tylko rytmy anglosaskie czy murzyńskie, lecz i polskie — choćby melodia spod Krosna: „Był tu taki smutny panek, podpierał się workiem...”

Zespół przygotowuje teraz nagrania radiowe i płytowe własnych utworów, z których kilka zaprezentował owego wieczoru: „Supraś! — mon amour”, „Jak my w Wyszeborgu Pana Jezusa witali”, „Tak jak plecy taksówkarza”, „Patrząc z mostu na rzekę”, „Kot pod płotem padł pokotem” i „Kolede”.

Muzycy spotkali się z więcej niż ciepłym przyjęciem, które tomżyńska widownia zmanifestowała wyklaskaniem dwóch nadprogramowych utworów na bis. Ci, którzy chcieliby ich jeszcze posłuchać, Tomasz i jego zespół zapraszają na comiesięczne „Wieczory u Szwela” (grają zarówno gospodarze, jak i zaproszeni przez nich goście) w klubie „Dedał” przy Alei Krakowskiej w Warszawie. Wprawdzie nie jest to centrum miasta, ale i tak ródzi muzyki wychwalają pod niebiosa „kulturalników” z Ochoty za stworzenie im znośnych warunków do pracy i koncertowania.

Tomasz Szwed nie jest zupełnie nieznaną postacią świata muzycznego, choć jego romans z piosenką miał dotychczas raczej charakter przygody niż trwałego związku. Z wykształcenia jest „nie ukończonym magistrem” konserwacji zabytków. W Związku Artystów i Kompozytorów figuruje jako literat.

— Nigdy jednak nie miałem literackich sukcesów — przyznaje. — Wydrukowałem zaledwie parę wierszy i artykułów. Przede wszystkim piszę słowa i muzykę piosenek.

Zaczynał od grania swoich autorskich tekstów, ponieważ zajęcia dekoratora wewnątrz nie potrafiły zaważać jego duszę. Na swojej samotnej drodze spotkał rozpadał się zespół, z którego powstał „Tender”, wyróżniony na opolskim festiwalu. Gdy w stanie wojennym działalność kulturalna została zawieszona, zaczął uprawiać inny rodzaj sztuki — witraże. W połowie ub. r. wrócił na scenę wraz z czterema chłopakami, których znalazł z ogłoszenia. Ich pierwszy krok na „Country Pikniku” w Mragowie był udany i na pewno nie fałszywy. Tomasz Szwed da się bowiem naprawdę lubić: za duże obycie muzyczne, osobistą kulturę, dobry gatunek dowcipu, a przede wszystkim — autentyczny sentiment do country.

KAROLINA

Fot. Andrzej Piętko

płyty remanenty

▲ W niespełna dwa lata od założenia „Rezerwat” wydał swoją pierwszą płytę długogrającą. Znajdują się na niej znane już z anteny radiowej — „Obserwator” i „Tragiczna marionetka”. Pozostałe utwory bardziej zmięrzają w kierunku pop niż — jakby się mogło wydawać po pierwszych próbach nagraniowych — muzyki spod znaku nowej fali. Z nowych propozycji podoba mi się ciekawie zaaranżowany i zagrany „Paryż”. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu „Rezerwat” stawiano obok „Republiki”, dzisiaj czterech „szpanerków” z Torunia pozostało daleko w tyle.

▲ „Tasmania” — tak zatytułowała swoją najnowszą płytę grupa „Mech”. Na okładce napisano: „Home taping is killing music and is illegal”, co znaczy: „nagrywanie na taśmy w domu zabija muzykę i jest nielegalne”. Ciekaw jestem, komu zechce się taką muzykę nagrywać.

▲ Zarejestrowana pod koniec 1982 roku, a wydane dopiero teraz płyta zespołu „Krzak”, zatytułowana „Krzak I”, jest jakby musztardą po obiedzie. Grupa nie istnieje już dobrych kilka miesięcy, a wieść o zawieszeniu działalności zasmuciła wielu fanów.

▲ Niebawem ukaże się w Wielkiej Brytanii angielska wersja „Nowych sytuacji” „Republiki”. Płytę wyda firma „Mega Records”. Natomiast w kraju zespół przygotowuje się do promocji swojego drugiego albumu — „Nieustanne tango”, który zrealizowano (jakby z nadzieją na pobicie rekordów zachodnich) w wersjach: niemieckiej i angielskiej. Obie płyty „Republika” zaprezentuje w polskim stoisku na Targach MIDEM w Cannes.

PRZYPOMINAMY

Niedawno pisałem o nowej płycie Paula Simona — „Hearts And Bones”. Miała ona reaktywować działalność słynnego na przełomie lat siedemdziesiątych duetu „Simon and Garfunkel”. Niestety, mimo wielu zapowiedzi, mimo wspólnego po latach koncertu w Central Parku, nie będą oni występować razem. Dlatego też chciałbym dziś przypomnieć kilka szczegółów z życia tych wybitnych muzyków, opowiedzieć o ich płytach i tym, co pozostało po wspólnym śpiewaniu.

Paul Simon urodził się 13 X 1941 roku w Newark (New Jersey), w żydowsko-węgierskiej rodzinie. Wychowywał się w Nowym Jorku, gdzie spędził dzieciństwo, chodził do szkoły i poznał Arta Garfunkela, z którym później założył słynny duet.

Kariere rozpoczęli w 1957 roku w studenckim duecie „Tom (Graph) and Jerry (Landis)”. Z czasem zawędrowali do niewielkiego studia płytowego, gdzie nagrali kilka piosenek, z których „Hey! Schoolgirl” stała się jednym z 40 przebojów Stanów Zjednoczonych tamtego okresu. Nie przywiązywali jednak wagi do tego, co osiągnęli i postanowili kontynuować naukę w Queens College w Nowym Jorku. Paul poznał tam Karola Kleina i nawiązał współpracę z grupami „The Passions” i „The Mystics”. Śpiewał od czasu do czasu w klubach nie myśląc chyba zbyt poważnie o karierze muzyka. Za namową rodziny rozpoczął studia prawnicze, ale nie zagrał tam zbyt długo miejsca.

Na początku 1964 roku definitywnie opuścił mury uczelni i wyjechał do Anglii, gdzie zaczął występować w folk-klubach. Jego śpiew i muzyka zrobili wrażenie na chłodnych i z natury obojętnych na wszelkie nowinki Anglikach. Jedną z wielbicielek talentu Paula zaczęła popularyzować jego twórczość. Judith Piepe okupowała codziennie redakcję pism muzycznych i korytarze



Simon and Garfunkel (1)

wytwórni płytowych. Bez reszty poświęcała swój czas i pieniądze na lansowanie nikomu nieznanego piosenkarza. Jej wysiłki zostały później nagrodzone — zdjęcie Judith znalazło się bowiem na pierwszej stronie okładki płyty „The Paul Simons Song Book”.

W Anglii nie wiodło się jednak Paulowi, nie tak sobie wyobrażał karierę muzyka. Wrócił do Ameryki i natychmiast odnowił współpracę z Artem. Pomysłami udało mu się zainteresować Wytwórnice „Co-

lumbia”, w której nagrali wspólnie kilka utworów. Nie było to jeszcze to, o czym marzyli. Paul napisał parę nowych tekstów. Najważniejszym ich tematem były: uczciwość i kłamstwo. Próbował ustalić ich granice, znaleźć odpowiedź na dręczące od wieków ludzi pytanie: jak należy żyć, by życie sędzić godnie?

W tych literackich próbach dopatrzyć się można pewnego wpływu buntowniczej poezji Dyłana i słodkiego spokoju spod znaku „Everly Brothers”. W tym też klimacie na-

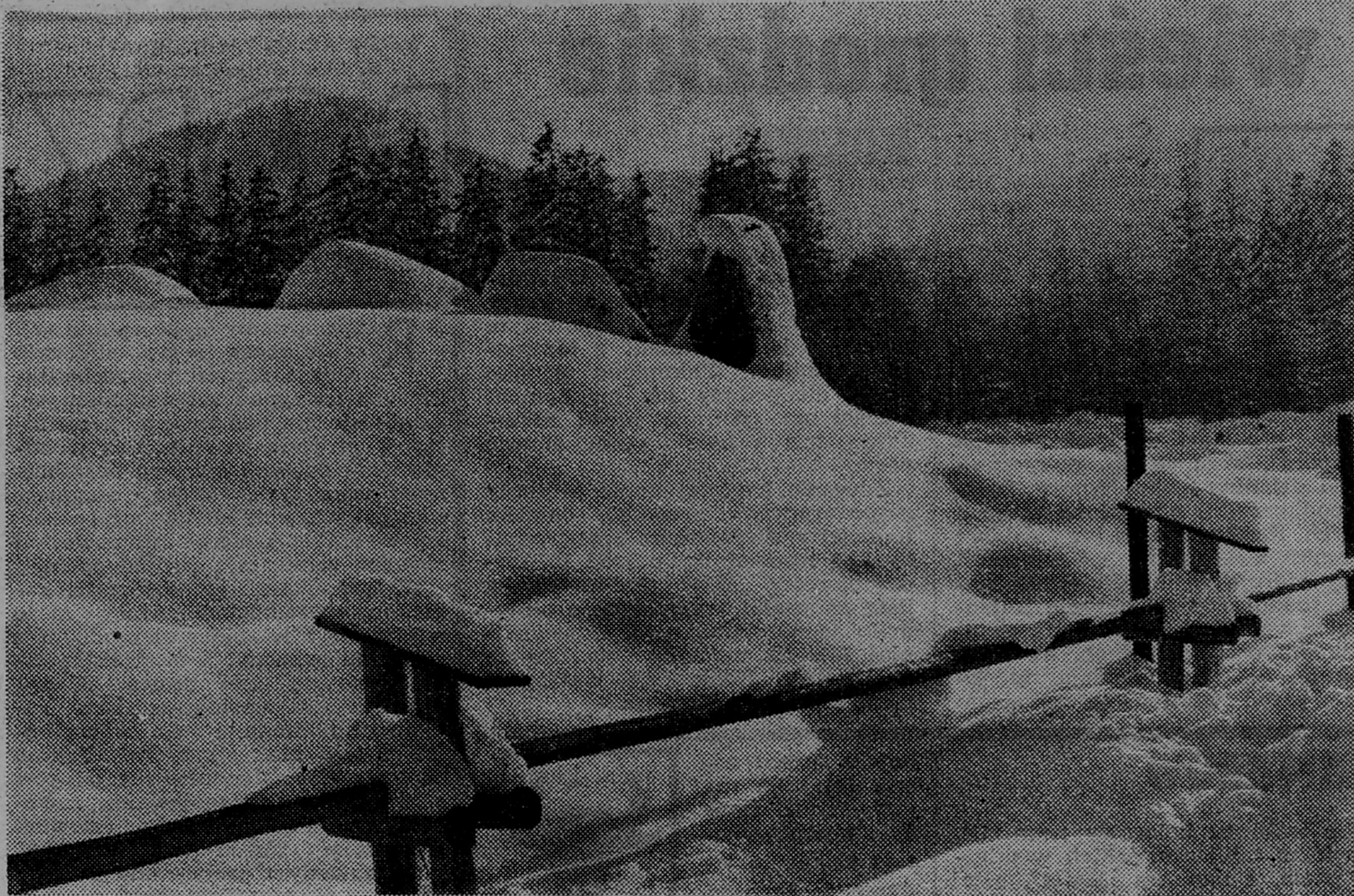
grali pierwszą swoją dużą płytę „Wednesday Morning 3 A.M.” Był październik 1964 roku — szat rock’n’rolla, w rezultacie płyta nie zyskała zainteresowania.

Paul postanowił wrócić do Anglii, gdzie Judith Piepe zdołała już namówić CBS do rejestracji longplaya — „The Paul Simons Song Book”. Album utrzymany w refleksyjnym klimacie, ze spokojnymi piosenkami spodobał się angielskim melomanom.

Reprod. Leszek Czerni

wczasy tylko zimno

Naukowcy opracowujący urządzenia lecznicze dla uzdrowisk dowodzą, że szczególnie korzystne dla organizmu są wczasy w okresie od grudnia do kwietnia. A już specjalne właściwości regeneracyjne posiada urlop wypoczynkowy spędzony zimą na wysokości powyżej 800 metrów nad poziomem morza. Powstają wówczas warunki sprzyjające tworzeniu się czerwonych ciałek krwi, oddychamy głębiej — a to ma, z kolei, wpływ na poprawę przemiany materii i reguluje system nerwowy.



ROBOTKI NA DRUTACH (5)

kieszeń e

Kieszenie poprzeczne.

1) Przerobić do miejsca, w którym — zgodnie z wykresem — zaczyna się kieszeń. Zdjąć odpowiednią liczbę oczek na drut pomocniczy lub agraftę, po czym nabrać na drut prawy taką samą liczbę oczek. Przerobić do końca, a w następnym rzędzie oczka nabrane przerobić jak pozostałe. Po wykonaniu części przodu lub całego przodu, w tym miejscu gdzie były oczka dobrane — nabrać nowych oczek tyle, ile znajduje się na agraftce, i przerobić splotem dżersejowym spód kieszeni. Następnie przelożyć oczka z agraftki na drut lewy i przerobić splotem podstawowym lub ściągaczem taką liczbę rzędów, jaka jest potrzebna do wykonania patki kieszeni, lub zamknąć oczka — o ile kieszenie są bez patki.

2) Przerobić splotem podstawowym do miejsca, w którym zaczyna się kieszeń. Odliczyć potrzebną liczbę oczek i przerobić je innym kolorem włóczki. Dalej, do końca, przerabiać splotem, jakim wykonujemy model. Po zrobieniu części modelu wyciągnąć nitkę innego koloru, a powstałe w ten sposób oczka przerobić: górne — splotem dżersejowym (będzie to spód kieszeni), dolne — splotem

tem podstawowym lub ściągaczem (będzie to patka kieszeni). Po rozprasowaniu wykonanej części modelu przyszyć spód kieszeni po lewej stronie przodu. Patkę przyszyć na prawej stronie przodu.

Kieszenie ukośne.

Przerobić przód do miejsca, w którym ma być kieszeń (zgodnie z wykresem). Podzielić robotę na dwie części i przerabiać je z dwu kłębów. Należy zacząć na prawej stronie roboty, od lewej połowy przodu, dodając po 1 oczku w każdym rzędzie na końcu pierwszej rozdzielonej części przodu (od strony bocznej) i odejmując po 1 oczku w każdym rzędzie na początku drugiej, rozdzielonej części połowy przodu (od strony zapięcia lub środka). Dla drugiej kieszeni, znajdującej się na prawej połowie przodu, czynność tę należy powtórzyć ze zmianą kolejności, tzn. na końcu pierwszej rozdzielonej części połowy przodu odejmować po 1 oczku, a na początku drugiej — dodawać po 1 oczku w każdym rzędzie. Po zrobieniu linii skośnej odpowiedniej długości dalej przerabiać równo — z jednego kłębaka włóczki. Po zakończeniu połowy przodu wykonać patkę kieszeni i jej spód. W tym celu nabrać oczka na linii skośnej, w której były oczka dodawane, i przerobić spód kieszeni odpowiedniej wielkości, a w linii, w której oczka były odejmowane, nabrać odpowiednią liczbę oczek i przerobić patkę kieszeni. Następnie, po uprasowaniu przodu, podszyc spód kieszeni i przyszyć patkę.



TANIE DANIE

Ugotować w łupinach 80 dag ziemniaków. Obrać, przetrzeć przez praskę lub zemleć. Masę schłodzić. 1 dag drożdży rozmieszać z 2 łyżkami śmietany i wlać do przetrzanych ziemniaków. Do masy dodać 2 jajka, sól, pieprz do smaku oraz 2—3 łyżki maki. Utrzeć starannie na gładką masę. Szybko formować nieduże kulki (masa ziemniaczana nie może długo pozostawać z drożdżami).

ziemniaczane pączki

— prędko rośnie i podczas smażenia pączki rozlatują się, większe od orzechów włoskich lub paluszek. Wrzucać na mocno rozgrzaną fryturę (dół wołowy topiony bez skwarków) lub smalec. Smażyć na złoty kolor. Wybierać łyżką cedzakową, osuszyć na bibule. Ułożyć na salaterce. Podawać z ostrymi sosami lub jako dodatek do mięsa. (Ta sama frytura może być użyta ponownie).

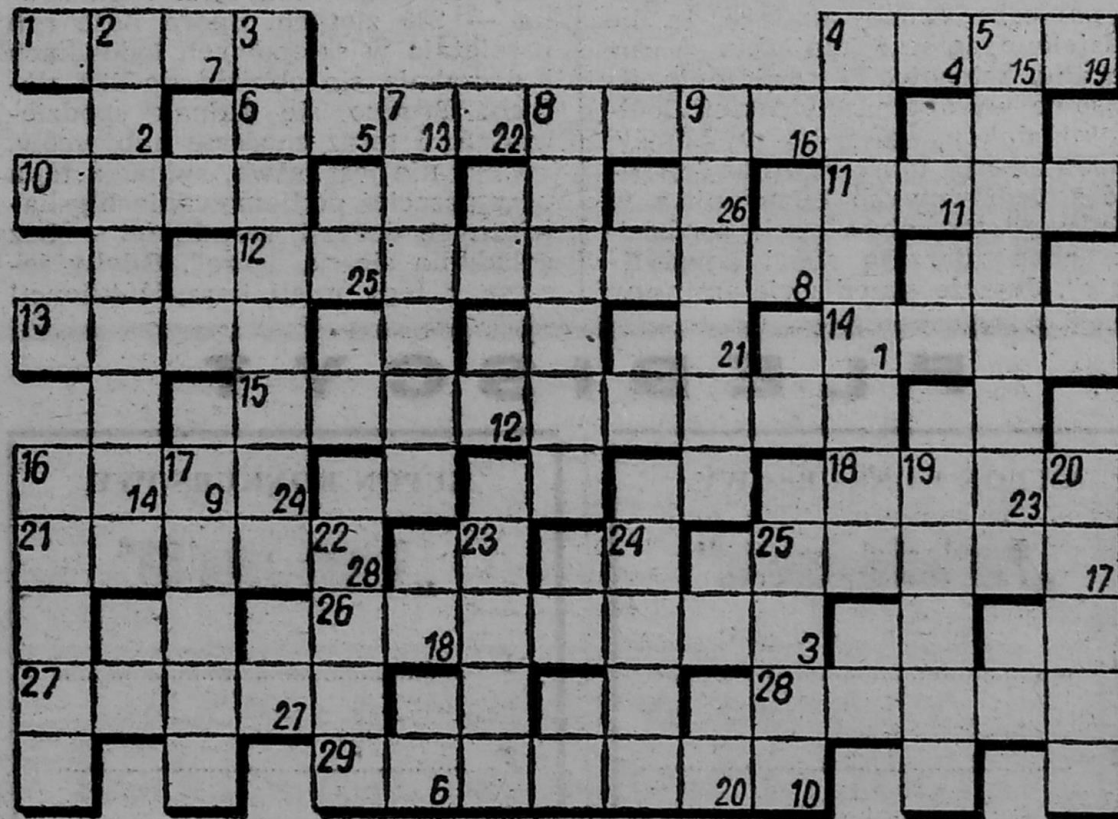
grunt to logika

Był kiedyś kalif, który nienawidził Żydów. Wydał on takie zarządzenie: „Każdy Żyd, który przekroczy moje królestwo, ma być zatrzymany przez straż, której musi powiedzieć coś o sobie. Jeśli skłamał, będzie zastrzelony. Jeśli powie prawdę, będzie powieszony”.

W ten sposób kalif chciał zniszczyć wszystkich Żydów w swoim kraju. Któregoś dnia pewien Żyd przekroczył granice królestwa. Kiedy straż zażądała, aby powiedział coś o sobie, rzekł: — Będę dziś zastrzelony.

Strażnicy nie wiedzieli, co począć. Udał się więc do samego kalifa.

Kalif długo się zastanawiał: — To rzeczywiście trudna sprawa. Jeśli bowiem każę zastrzelić tego Żyda, to znaczy, że powiedział prawdę. W takim razie powinien zostać powieszony. Jeżeli każę go powiesić, będzie to oznaczało, że skłamał, zatem, według wydanego przeze mnie prawa, powinien zostać zastrzelony. Co robić?



Po rozwiązaniu krzyżówki litery z krótkich ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione od 1 do 28, utworzą przysłowie hiszpańskie.

POZIOMO: 1) niemila woń, odór, 4) ryba z rodziny karpiołowatych, 6) deklamacja wiersza, 10) otwór w ścianie, 11) musi być jego poczucie w tańcu, 12) boża krówka, 13) śpiew cietrzewi, głuszców w okresie godowym, 14) całodzienne wyżywienie, 15) cukier prosty, 16) miasto w woj. suwalskim, 18) brak interesującego zajęcia, 21) taniec rodem z Argentyny, 25) atrybut czyszcibuta, 26) okazałe dwuskrzydłowe drzwi, 27) lalka, 28) organizm ludzki, 29) wieżowiec z Nowego Jorku.

PIONOWO: 2) rzymska bogini zwycięstwa, 3) białostka, 4) podaża przez pustynię, 5) wiadukt do przeprowadzenia trasy komunikacyjnej ponad poziomem terenu, 7) nadziak, obuch, 8) zmniejszamy je za pomocą towotu, smarów, 9) pracuje w kontroli prasy, książek, filmów, 16) słynny film Alfreda Hitchcocka, 17) lewy dopływ Kolumbii, 19) sąsiaduje z Wolinem, 20) środek stosowany przy bólu gardła, 22) deszcz, śnieg, 23) przepływa przez Wrocław, 24) zwierzę domowe z rogalni, 25) piłkarski na stadionie.

(„GENTO”)

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.





HEKSAGRAM 13:
więzy uczuciowe

góra: Ch'ien — nie-
bo, aktywność

dół: Li — ogień,
piękno.

DECYZJA: Otwarte uczucie —
sukces. Dobrze jest przekroczyć

wielką wodę. Uparte sterowanie da
korzyści.

KOMENTARZ: Heksagram wyra-
ża ideę, że kobieta ma przewagę
nad mężczyzną i czerpie korzyści
z mężczyzny, który ją kocha. Ale
silna i utalentowana osoba musi
wcześniej czy później — przeja-
ster i poprowadzić słabszą (na przy-
kład żonę). Pod warunkiem, że lu-
dzi tych łączy duchowe podobień-
stwo i sympatia.

Uczucie objawione zapewnia suk-
ces. Czas korzystny dla jakiegokol-
wiek podróży.

OBRAZ: Ogień płonie do nieba.
Człowiek wartościowy traktuje
wszystko według rodzaju.

Linia 1 — Nie ma potrzeby ni-
czego ukrywać. Można się spotkać
publicznie z osobą ukochaną.

Linia 2 — Zbyt ograniczone re-
lacje (np. przez rodzinę, klan itp.)
— przez prawdę do kłopotów.

Linia 3 — Nie szukał(a) żony lub
męża, domu, dzieci przez trzy lata!
Odwaga za wszelką cenę jest tu
bardzo potrzebna. Trzy lata bez
żadnej radości. Kto by szedł przez
życie w ten sposób?

Linia 4 — Poczucie zdrowego
rozsądku i poczucie obowiązku ka-
żą postępować właściwie — stąd
powodzenie.

Linia 5 — Osoby kochające się
zaczęły od skarg i lamentów, ale
kończą śmiejąc się, bo los je po-
łączy. Właściwa rzecz jest powie-
dziana i następuje połączenie.

Linia 6 — Przestaje narzekać i
zrzędzić, choć bardzo tęskni za
swoim partnerem (lub partnerką),
który(a) wyjechał(a) gdzieś daleko.

**HEKSAGRAM 14:
wielkie posiadanie!**

góra: Li — ogień,
piękno.

dół: Ch'ien — nie-
bo, aktywność.

DECYZJA: Kto posiada wiele —
osiąga sukces!

KOMENTARZ: Heksagram wyra-
ża ideę osiągnięcia sukcesu mate-
rialnego, zdobycia wysokiego stano-
wiska społecznego itd.

OBRAZ: Słońce na niebie. Czło-
wiek wartościowy prześladuje zło,
a popiera dobro, przeprowadzając
wolę Nieba.

Linia 1 — Nawet jeśli ma kłopo-
ty, to nie jego wina, gdyż miał
dobre intencje. Nie ma kontaktu
ze złem — przynajmniej!

Linia 2 — Nie powinni obawiać
się braków materialnych, pomoc
przyjdzie w porę. Plan nie zawie-
ra błędów — można go zrealizować.

Linia 3 — Trudny cel jest do
osiągnięcia tylko przez naprawę
wartościowego i wielkiego człowie-
ka. Inny — nawet nie ma co pró-
bować.

Linia 4 — Nie jest to cel wy-
górowany czy zbyt ambitny.

Linia 5 — Pewność siebie umo-
żliwia towarzyskość i zapewnia res-
pekt.

Linia 6 — Protekcja losu zapew-
nia wielkie bogactwo i sukces we
wszystkim.

CO MÓWIĄ NASZE SNY?

cicho bądź

Pan A.T. z Ostródy prosi o wy-
jaśnienie następującej wizji sennej:
„Byłem generałem. Siedziałem na
koniu, trzymając w ręku generalską
bulawę, taką, jaką znamy z histo-
rycznych opisów. Byłem ubrany w
ogromnie kolorowy mundur z lam-
pasami i obserwowałem z wysokie-
go wzgórza piękne parady konnych
oddziałów. Wkrótce rozpetęła się u-
lewa. Oddziały rozpiechły się, mu-
siałem schronić się pod drzewo. Cze-
kałem na lepszą pogodę i przebie-
rałem się ze swego munduru w nor-
malne, cywilne, współczesne ubra-
nie — sweter i dżinsy. Pomagała mi
w tym piękna, młoda kobieta. Pró-
bowałem nawiązać z nią rozmowę,
lecz cały czas tylko uśmiechała się

tajemniczo i milczała. Gdy rozgnie-
wałem się, odrzekła: — Cicho bądź,
jesteś zwykłym człowiekiem.

Uważam, że to oryginalny sen.
Dlatego czekam na Waszą interpre-
tację.”

Otrzyma Pan w krótkim czasie
bardzo odpowiedzialną pracę, a wła-
ściwie ważne, odpowiedzialne zadanie.
Ponieważ stał Pan we śnie na
wzgórzu — można się spodziewać
sporych trudności w wykonaniu tej
misji. Niemniej wykona Pan wszy-
stko doskonale i w rezultacie będą
nagrody i pochwały. Deszcz we
śnie obiecuje szybkie nadejście do-
brej passy życiowej, widok pięknej
kobiety i drzewo — zapowiedź mi-
łości. A to ostatnie zdanie z Pana
opisu doradza, aby Pan zawsze sta-
rał się być sobą, nigdy nie próbując
udawać kogoś innego! Naturalność
i szczerłość są sprzymierzeńcami za-
kochanych, gra i udawanie prowa-
dzą w ślepy zaułek.

**GENERALE —
WIZYTA
DOSTOJNIKA!**



**LESZEK SZUMAN
ŻYCIE**



**A JEDNAK
POWRÓCIŁEM**

— 21 —

Zetknięcie się z tamtym światem
nie wywołało jednak we mnie strachu
i nie zrobiło żadnego szczegól-
nego wrażenia. Po prostu spokojnie
oczekiwałem, co z tego wyniknie
dalej.

Nagle coś mnie pochwyliło za
ramiona i szarpnęło wstecz. Zaczę-
łem się oddalać od owej góry, od
wspaniałych kwiatów i od osób, z
którymi jeszcze przed chwilą roz-
mawiałem.

Jeszcze przed momentem byłem
w stanie spokoju ducha, poczucia
szczęścia, a tu nagle nastąpiła jak-
as szybka i niezrozumiała dla mnie
zmiana. Miałem wrażenie, że zjeżd-
żam po stoku góry. Dookoła mnie

robiło się coraz ciemniej. Pocz-
łem też niespodziewanie straszny
ból w piersiach, w głowie i sercu.
Wyraźnie czułem, że ktoś trzyma
moje serce w garści i nim poru-
sza.

Wtedy zrozumiałem, że jestem z
powrotem na Ziemi. Lecz chyba
była to noc, bo nie słyszałem nic
i nie widziałem. Na moje py-
tania nie odpowiadano, lecz kiedy
ktoś mnie dotykał, sprawiał mi
to cierpienie. Nie mogłem jednak
krzyknąć, nie mogłem też nikomu
powiedzieć, jak strasznie cierpiałem.

Rozpoczęła się niesamowita wal-
ka. Człowiek, który stawiał czoło
śmierci — Michał Clifton — nie
chciał być kaleką. W myślach u-
łożył sobie plan walki, jak powró-
cić do stanu normalnego. Zdawał
sobie sprawę, że jego umysł dzia-
łał poniekąd tylko jednokierunkowo.
Tam też zamierzał szukać punktu
zaczepienia.

— Pragnąłem odzyskać wzrok,
widzieć moje otoczenie — wspomi-
na. — Godzinami myślałem tylko
o tym. W swej wyobraźni widzia-
łem różne obrazy, barwnie i plas-
tycznie. W anatomicznych szczegó-
łach funkcji organów człowieka
mniej więcej się orientowałem.

Później powiedziano mi, że mój
stan ślepoty trwał aż siedemnaście
dni. W końcu zacząłem dostrzegać
cienie przedmiotów, którymi poru-
szano przed moimi oczami.

Po kilku dalszych dniach moje
receptory — czy jak to się inaczej
naukowo określa — zaczęły reago-
wać na kolor czerwony.

Aby choremu ułatwić powrót do
normalnego życia, dookoła niego po-
zawieszano na ścianach czerwone
płachty. Dodawało mu to chęci do
dalszej walki.

Z kolei pragnął mówić. Na po-

czątku był to jednak tylko bełkot,
szepoty i jęki. Lecz nadszedł dzień,
kiedy zdołał wymówić słowo, któ-
rego nauczył się w dzieciństwie
najprędzej: mamę...

Po kilku tygodniach spróbo-
wał chodzić. Początkowo zataczał
się i padał jak małe dziecko. Nie
dał jednak za wygraną. Był prze-
konany, iż z pomocą silnej woli
uda mu się pokonać śmierć.

Powoli powracał mu także słuch.

Twierdził, że miał poczucie jak-
by podwójnej świadomości. Jedna
dotyczyła czasu teraźniejszego, tego,
co się dzieje dookoła niego, druga
zaś czasu przeszłego, przeżyć daw-
nych. Najpóźniej powracała mu pa-
mięć wydarzeń z okresu zawału
serca i śmierci klinicznej.

Lekarze stosowali słabe prądy
elektryczne, przykładali mu w róż-
nych miejscach czaszki igły pod
napęciem. Nie dawali mu spokoju.
Centymetr po centymetrze mózg
został zaktywizowany.

Lekarze i pielęgniarki podziwiali
wytrwałość pacjenta i jego upor-
czywałość chęć powrotu do pełnego
zdrowia. Mówiono, że chyba stał
się cud.

Nadszedł w końcu ten upragnio-
ny dzień, gdy o własnych siłach
mógł już opuścić szpital i udać się
do domu. Oczywiście w domu od-
wiedzili go lekarze, skrupulatnie
notując zmiany w stanie zdrowia
podopiecznego.

Po kilku miesiącach od daty wy-
pisania Michała Cliftona ze szpita-
la, ordynator oddziału chirurgicz-
nego wezwał do siebie jego matkę
i zadał jej dziwne z pozoru pyta-
nie.

— Pani syn już od dłuższego cza-
su jest w domu. Czy pani zauwa-
żyła w nim może jakieś zasadni-
cze zmiany?

Matka zawahała się, po czym
wyrzuciła z siebie jednym tchem:
— Ma pan słuszność, panie dokto-
rze, Michał się zmienił.

— W jakim sensie? — spytał le-
karz z zaciekawieniem.

— Widzi pan. On dawniej kochał
życie. Słońce i przyroda to był je-
go żywioł. Dziś jego żywiołem jest
noc. Kocha ciemność, tak jak moż-
na kochać partnerkę, towarzyszkę
życia. Ja to wręcz wyczuwam, kie-
dy nadechodzi zmierzch. Czasem
wybiega w nocy z domu i nie
wiem dokąd idzie. Chyba chodzi po
lasach, bo po powrocie obuwie ma
mokre i powalane gliną.

Dr. J. C. McGown postanowił
wyjaśnić przyczynę tajemniczych
wycieczek byłego pacjenta.

Zaczęła się w pobliżu domu Clif-
tonów przez kilka dni z rzędu i
cierpliwie czekał. Po ośmiu dniach
rozwiązał tę zagadkę. Michał Clif-
ton nocami chodził na cmentarz.
Siadał na ławeczce pośród grobów
i zdawał się podniecać urokiem
tych miejsc wiecznego spoczynku.
Widocznie sprawiał mu to wew-
nętrzną ulgę. Na cmentarzach czuł
się jak u siebie w domu. Wysia-
dywał tam bez ruchu nawet po kil-
ka godzin, po czym wesoły i psy-
chicznie odprężony wracał do ziem-
skiego domu.

Lekarz często widywał Michała
i wielokrotnie z nim rozmawiał.
Nigdy jednak nie wspominał mu
o tych jego nocnych wycieczkach.
Jak można bowiem rozmawiać na
ten temat z kimś, kto już był na
tamtym świecie?

W każdym razie Michałowi Clif-
tonowi udało się wygrać pojedynek
ze śmiercią. A w jaki sposób, czy
to takie ważne? Zresztą, co my
o tym wiemy? (C.d.n.)

wiedza tajemna



organ sumoisty pod redakcją
Jonnny Sabillo i Andrzeja Wesolowskiego



wiedza tajemna